Nr. 1. Lwów, dnia 1. Stycznia 1879. Rok II.



PRENUMERATA ROCZNA: 5 ZŁR. 5 RS. 10 MAREK 12 FRANK.

INSERATY PRZYJMUJĄ SIĘ PO ZWYKŁEJ CENIE.

WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA.

NA ROK NOWY.

Rozpoczynamy rok nowy z przeświadczeniem, żeśmy gorliwie starali się spełnić przyjęte obowiązki. Towarzystwo łowieckie coraz szerzej rozwinęło swoje działanie i wpływ, zawiązało rozległe stosunki w kraju i po za krajem, a poparte przez Władze zjednało sobie powagę, do której w sprawach łowieckich chętnie się odnoszono. Towarzystwo licząc w obecnej chwili przeszło 300 członków, rozsypanych po całym kraju, ma w nich współwyznawców tych samych celów i dążeń, wymierzonych do poprawy krajowego łowiectwa, rozbudzenia potrzeby umiejętnego jego traktowania, przysporzenia krajowi pożytku, dostarczenia myśliwym istotnej korzyści i prawdziwej przyjemności. W skutek gorliwych usiłowań Towarzystwa, Ustawa, regulująca w kraju sprawy łowieckie, nie tylko normuje w każdej porze roku tryb życia i działania myśliwskiego i tem wpływa zbawiennie na wzrost zwierzostanu, ale też szerzy istnie humanitarne zasady, rugując bezwzględne i bezlitośne tępienie zwierząt pożytecznych. Zdaje się nam, iż dziś już nie zapędza się myśliwy jedynie dla ochłodzenia zbyt gorącej krwi, dla nasycenia drapieżnych popędów, bezmyślnie na pola, błota i w bory, — już szlachetniejsze cele są dla niego przewodnikiem i doradcą w każdym łowieckim trudzie, w każdej tego rodzaju potrzebie. Samowola, nielitościwość, bezmyślna pustota, kłusownictwo, grasujące do niedawna straszliwie w kraju naszym — ustępują coraz bardziej karnemu przestrzeganiu ustawy łowieckiej, szlachetniejszemu pojmowaniu racyonalnego i na wymaganiach prawa opartego łowiectwa. Mamy nadzieję, iż wkrótce ostatnie zabytki dawnych przesądów, nawyczek i samowolnych zapędów znikną, jako chorobliwe pojawy, pośród nas, że jak w innych kierunkach, tak również w łowiectwie, staniemy na równi z innymi oświeconymi narodami, które nas w tym względzie wyprzedziły, i wcześniej sobie korzyści z umiejętnego prowadzenia łowiectwa zdobyć umiały. — Z tą błogą otuchą w pomyślną przyszłość wstępujemy w progi roku nowego naszego działania, pewni, że nasze dążenia zjednają sobie, jak w roku ubiegłym, szerokie nie tylko w kraju, ale i po za krajem uznanie i poparcie. Wszak już zawiązane są stosunki z Królestwem Polskiem, z W. Xięstwem Poznańskiem,

z obcemi Towarzystwami łowieckiemi i Redakcyami pism łowieckich, — owe to stosunki ułatwią nam dalsze działania, a sympatya dotąd gorąca wewnątrz kraju poprze je niezawodnie nader skutecznie.

Głównym pośrednikiem między Towarzystwem a społecznością łowiecką było pismo p. t. „Łowiec“, naszem staraniem wydawane. O ile ono odpowiedziało swemu przeznaczeniu, o ile zdołało ująć sobie czytelników, niech oni sami raczą na to zapytanie odpowiedzieć. To pewne, iż z całą usilnością, z gorącem przejęciem się naszymi celami, pragnęliśmy w niem krzewić zdrowe zasady postępowego łowiectwa, wpoić poszanowanie dla Ustawy, biorącej w obronę tę gałęź dobrobytu krajowego, szerzyć naukowe wiadomości i umiejętne traktowanie łowiectwa, które dotąd, jako błaha rozrywka, nie podlegała u nas prawidłom w karby nauki ujętej wiedzy. Musiało to Pismo, zwłaszcza w początkach swego istnienia odbiedz znacznie od normy i formy, jakie dla Pism tego rodzaju u obcych są zakreślone i przyjęte. Tam każdy niemal myśliwy, uważając myśliwstwo jako umiejętność, stara się w tym zawodzie kształcić naukowo, a ułatwia mu spełnienie dobrej woli obszerna w tym kierunku literatura, — tam już drobne chłopię otoczone jest atmosferą poszanowania prawa, nauki i wiedzy, wreszcie doświadczenia, opartego na gruntownej, bo badawczej podstawie, — tam więc Pismo łowieckie nie tyle kształci, ile bawi, treść jego składa się przeważnie z drobnych wiadomości, często nader cennych przyczynków dla nauki i praktyki łowieckiej, a Pism takich, zresztą starannie redagowanych i illustracyami ozdobionych, jest wiele.

Inaczej rzecz się ma u nas. Literatura łowiecka nader uboga, Pismo nasze jest pierwsze, które tą specyalnością się zajmuje, nauki przyrodnicze od niedawna dopiero młodzieży w szkołach udzielane, nie rozszerzyły jeszcze dostatecznie gruntowniejszej wiedzy, ogół myśliwych naszych nie uczuł jeszcze potrzeby umiejętnego kształcenia się w tym zawodzie, nie zasila swej wiedzy znakomitemi dziełami obcej literatury, a w swojej posiada zbyt mały zasób. — Cóż dziwnego, iż tradycya i własne doświadczenie są alfą i omegą naszego łowiectwa. Tradycya dawnych sięgająca czasów niesie obok cennych darów wiele przesądów, błędnych pojęć, uprzedzeń i axiomatów niezgodnych z postępem nauki dzisiejszej chwili. Własne doświadczenie nie oparte na podstawie naukowej, jestto żeglowanie po szerokiem morzu bez sternika i busoli. — W takim stanie rzeczy Pismo łowieckie ma przedewszystkiem obowiązek szerzyć naukową wiedzę, zdobytą na podstawie gruntownych badań własnych lub obcych, trzebić fałsze i przesądy, wpajać konieczną potrzebę wprowadzenia racyonalnego łowiectwa, czuwać nad ścisłem przestrzeganiem Ustawy, roztaczać obrazy uroczych powabów przyrody, jej potęgi i skarbów, i tem zagrzewać do rozmiłowania się w niej, do poznania jej, w ogóle do rozszerzenia wiedzy i działalności łowieckiej. Tak pojmując zadanie swoje musi Pismo nasze być więcej nauczającem, główny ton jego winien być poważny, a mimochodem tylko może bawić drobnemi wiadomostkami, anegdotami, lekkimi zapiskami i t. p., któremi obce Pisma łowieckie może zbyt hojnie szafują. — Nie będziemy dłużej rozwodzić się nad owem dążeniem Pisma naszego. Czy ono trafnie pojęte, czy i z jaką siłą w „Łowcu“ się odbija — niech łaskawi czytelnicy nasi osądzą. My z owego wytkniętego toru zejść nie możemy, jak długo ogół społeczeństwa łowieckiego tak chętnie nas popiera, jak długo światli nauce, badaniu przyrody i stosunków łowieckich oddani współpracownicy nasi, naturalną koleją rzeczy na inne tory nas nie sprowadzą.

Tych słów kilka szczerej spowiedzi w obec czytelników naszych uważaliśmy za konieczne wypowiedzieć w chwili, w której zamykamy rok ubiegły, a wstępujemy w rok nowy, w podwoje nieodgadnionej przyszłości, która oby dla nas i dla czytelników „Łowca“ była pomyślną!

A więc zastępujemy łowieckie Niemców „*Waidmannsheil*“ — szczeropolskiem a serdecznem:

Szczęść Boże!!

SPRAWY TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wpisali się do Towarzystwa łowieckiego:

Barthels Artur
Breza Henryk hr.
Dzieduszycki Karol hr.
Kwilecki Zbigniew hr.
Langiewicz Kajetan
Łastowiecki Zygmunt
Magnowski Dominik
Markiewicz ksiądz
Ostrzechowski Jan
Pławicki Feliks
Puzyna Juljusz kniaź
Radzikowski Ludwik
Riedel Roman
Sanguszko Eustachy książe
Torosiewicz Jan
Ziembicki Gwalbert.

LEGAWIEC

Przez
KAZIMIERZA hr. WODZICKIEGO.

Śmiało można powiedzieć, że wyżeł to towarzysz myśliwego, jego pomocnik, wspólnik pracy, trudów i rozkoszy, złączeni są z sobą namiętnością, wzajemnym interesem. Jest to współka na podstawie obopólnej potrzeby, jeden wie, drugi przeczuwa, że odosobnieni nic zdziałać nie potrafią, a połączeni w jednem dążeniu furami dostarczają zwierzyny, bawiąc się rozkosznie. Przy troskach życia, kłopotach i niepokojach, przy dokuczliwych niepowodzeniach i tych rozlicznych chmurach, zaciemniających horyzont polski, czy w mieście czy na wsi, wyżeł dobry i rozumny, przywiązany i nieodstępny jest lekarstwem na wszystkie moralne dolegliwości. Myśliwy chcąc otrząść trapiące go mgły, nie zawsze może używać przyjemności polowania innego, jak z wyżłem, bo czasy się zmieniły i my z czasem, więc już tej dawnej sforki ogarów nie ma, z którą można było iść na młodzika do lasu, dziś przy hodowaniu zwierzyny i nagonkach, polowanie stało się towarzyskiem i nader kosztownem. Nie jeden z mych kolegów myśliwskich uczuł błogie dobrodziejstwo, i nie raz jeden, gdy zawiesił strzelbę i torbę na ramię, gdy jego legawiec z iskrzącemi oczami, rozjajany z radości począł skomleć i skowyczeć drapiąc po drzwiach, gdy nareszcie wyszedł na pole, łąki lub bagna i wyżeł począł strychować, zacinając się niekiedy, zanim zwietrzył dokładnie ptaka zwierzynnego, nie jeden mówię, uczuł zmianę w całem swem jestestwie, otrząsł troski, zdmuchnął chmury, nabył swobody, rozpogodził umysł, i zostawił za sobą ten światek utrapienia, który nam w życiu towarzyszy.

To lekarstwo myśliwego nie do porównania z żadnem innem, już u schyłku Marca wzmacnia ciało, uzdrawia umysł, gdy wieczorem chrapnie słonka, a wyżeł w górę patrzy i mordę podnosi, strzygąc uszami, lub też gdy na srokatem jeszcze polu zdaleka pod pniem lub liściastym krzakiem zwietrzy słonkę, ściągać poczyna, i nareszcie staje wyprężony, gdyby na torturach rozpięty. Już w drugiej połowie Lipca radować się możemy, gdy starsze podloty strzelamy, a legawiec nam znosi wypiory, gdy ściga wiatrem piechotnego oblanego dubelta, leniuszka ptasiego rodu, lub też gdy wystawi stadko krzyków, siedzących między kępinami, nieznających jeszcze człowieka z jego przyborami, a w końcu co za rozkosz, gdy wyżeł stanie do wspaniałego koguta cietrzewia, pierzeniem swem dokuczliwem zmuszonego do warowania w krzaku, również gdy zwietrzy rozrzucone młode cietrzewie z cieciórką na warcie i zdziwiony nieznaną wonią kładzie się, wstaje, patrzy na swego pana, jak gdyby mu chciał powiedzieć, że się coś nadzwyczajnego stanie, nareszcie się czołga i trzęsąc nerwowo ogonkiem mówi: teraz ostatnia chwila! — To znowu rozumne ptaki nakształt żmii ciekną szybko dążąc do gęstwin, a legawiec gdyby przekleństwo, sunie się za niemi, i nareszcie zmusza do lotu. A w żniwa co to za błoga rozrywka dla rolnika po obrachowaniu robotnika i piętrzących się na łanie półkopków zboża, gdy wchodzi w niedożęte kawałki, legawiec mu wystawia jedną przepiórkę, a hurma ich się zrywa. Lub też za rudym derkaczem, szybkochodem naszym, pies się posuwa i wyprowadza na ogołoconą ścierń, na której jedynie w locie ratunek. Później wyszukanie kuropatw, rozbicie ich, wyszukanie pojedyńczych, odstrzelenie kohota i wybranie ptaków z pomocą rozumu, doświadczenia i wiatru legawca. Nareszcie snopek zabrany, oziminy dywanami łany zdobią, wtedy dzień ciepły woła na oblane dubelty, spóźnione w ciągu z północy, na kszyki i ficlauzy ze swym zygzakowatym lotem, a w dzień zimny i wietrzny do krzaków na ciężkie słonki, nie chcące się zerwać pod baldachimem z liści. Ku jesieni z rozumnym legawcem obejdzie myśliwy kilkakrotnie stado kuropatw, zbije do kupy, umożebniając celny strzał, a zająca przykuje do kotliny, kreśląc zaczarowane dla niego koło. I tak przez cztery miesiące w roku, bez pomocy ludzi, bez kosztów i trudów, przy zajęciach i gospodarstwie, co dzień po kilka godzin możemy używać rozrywki, uwieńczonej pożytkiem. Na tem cały rozum w życiu, aby użyty środek był najskuteczniejszy, a narzędzie przynosiło największe korzyści, abyśmy wiedzieli, czego chcemy, i do tego celu dążyli. Tych zalet w cnotach naszych narodowych niestety nie napotykamy, nasze cele najczęściej mgłą okryte, a drogi mamy nie wytyczone. Jedna z kardynalnych naszych wad jest naśladownictwo i to nie dokładne, naśladujemy teorye i praktyki, wszakże nie na nasz pożytek. Naśladujemy Anglików, przewodniczących nam w chowie domowych zwierząt, lecz psujemy ich arcydzieła. Nasze chęci krzyżowania tak są gorączkowe, że przekrzyżowaliśmy już konie, bydło i psy, do prototypów powrócić nie możemy, a twórczości nie posiadamy, nie mając odpowiedniej wytrwałości i wytkniętego celu w chowie i produkcyi, nie zastanawiamy się nad pochodzeniem czyli krwią, nad wadami i cnotami czyli charakterem, w końcu nie badamy dostatecznie dziedziczności tychże wad i cnót. Setkami dowodów mógłbym poprzeć twierdzenie tej dziedziczności w koniach i psach. W pierwszych płochliwość, złość i upor badany przez cztery generacye, pomimo zmiany ojca, w drugich niesworność, szkodnictwo, wykradanie się na polowanie samopas, gonienie zwierza i zuchwalstwo. Tak w jednych jak w drugich jest widoczne stopniowanie we władzach umysłowych, w cnotach charakteru, jedne przyjmą naukę z łatwością i uległością, drugie się długo czynnie i biernie bronić będą, a po przyjęciu nauki starać się będą z nałożonych więzów wyłamywać ustawicznie, do uprzykrzenia.

Za czasów polskiego sokolnictwa sławę miały nasze legawce, ułatwiające sokołom łowy, lub myśliwym łapanie sieciami zwierzynnych ptaków. Do układania wyżłów byli myśliwcy, i drogo takowe spieniężali. Używane najpospoliciej tak nazwane kurlandzkie duże psy, wytrwałe, silne i odważne, wszakże tracące wiatr w czasie wielkich upałów, przez zmęczenie nad siły w ciepłym kożuchu, oraz psy z gładką sierścią, grube i na niskich nogach. Myśliwcy dawni już znali dziedzictwo cnót i wad, i wedle potrzeby krzyżowali, dobierając przymioty potrzebne do uzupełnienia legawca. Ten proceder nam wyjaśnia pochodzenie psów bez cechy jakiejkolwiek rasy, lecz cnoty krzyżowane z zaletami w psach jakiegobądź pochodzenia, wydawało legawców odpowiednich wymaganiom myśliwego. Doskonalenie cnót i zalet w psach przez krzyżowanie uwidocznione w szczególności u chartów. Począwszy od historycznych chartów Radziwiłła „panie kochanku“ i chartów Soplicy, a skończywszy na naszych, widzimy otrzymaną doskonałość przez dobór zalet i cnót, mianowicie chyżości i chwytności. Pamiętam wiele psów podobnych za mego życia, i dziś jeszcze w zakątkach naszego kraju, nie nawidzonych anglomanią, spotkać możemy odznaczające się wiatrem i rozumem psy. Jeden pies wzbogaca się corocznie swem doświadczeniem, i staje się pożyteczniejszym,

drugi w nauce i w rozwoju władz umysłowych nie postępuje, są nawet psy dobrej krwi z tego samego rzutu idioci do polowania. Badałem w życiu mojem myśliwskiem pięć psów nieznanego zupełnie pochodzenia, a umiejętnie przez krzyżowanie wychowanych i wyuczonych. W polowaniu na wilki opisałem ostrouszka, psa myśliwca Kaspra, zdatnego do wszystkich gałęzi myśliwstwa, niechże mi wolno będzie tu skreślić rysy tych znakomitych legawców. Wątpliwości nie podpada, że jak w ludziach tak i psach rodzą się znakomitości — psie jeniusze. Makaron, kurlandzki wyżeł Francuza, posiadającego w Burgundyi winnice, pola i gaje, nieodstępny jego towarzysz, a w potrzebie obrońca zaciekły swego pana, Makaron nosił zające i króliki, jak rękawiczki, z oddalonych miejsc do domu, i powracał do swego pana, czekającego na jego powrót. Gonił zające i nie gonił według rozkazu, a gdy mu właściciel powiedział, że jest postrzelony, to poszedł w pogoń na kilka godzin, i zawsze szaraka przyniósł. Mówił mu rano: dziś nie będziemy na zające polować i pies się ani popatrzał, innego dnia mu mówił: poszukaj zająca — i Makaron chodził śród stad czerwonych kuropatw, do takowych nie stawał, lecz szukał zająca i takowego wystawił, lub też skomląc gonił i nareszcie na swego pana przypędził. Zdarzenia wyryte w pamięci mojej, pomnikowe wspomnienia Makarona są następujące: Francuz za nim nie chodził, lecz przyszedłszy z nim pod winnice, krzaki lub łanki jarzynami zasadzone, mówił: obszukaj mi to. Pies idący za nogą, jak strzała się posunął i po niejakim czasie powracał, jeżeli się kładł zjajany, to dowód, że nic nie znalazł, jeżeli zaś w oczy patrzał swemu panu i ogonem ruszał, to z pewnością miał upatrzoną zwierzynę. Francuz go pytał: czy prawda? — on począł szczekać, wtedy szliśmy, jak to mówią na pewniaka, powtarzając przez dzień kilkakrotnie podobne próby.— Parol również kurlandczyk lecz mały, rozumu niepospolitego, znający bicie przepiórek, derkanie chruścieli, biegł o kilka tysięcy kroków, wystawił ptaka i czekał; gdy myśliwy za nim nie dążył, powracał, o swego pana się ocierał, skomlił, skakał i nareszcie go zmusił do kroczenia w ślad za nim. Każdy wyżeł ma swoją, odznaczającą go specyalność, Parol przepadał za błotnem polowaniem i kaczkami, i tam się laurami okrywał. Parol mógł służyć za nauczyciela na psiej katedrze, miewał on instynkta i jasnowidzenia, skierowane ku pożytkowi myśliwca, i tak na przykład wyrozumował sobie, że na spuszczonych stawach stawarka rzadka i namuł nie dozwala pospieszyć, i że się utopić można, pomimo że Parol pływał jak nurek amerykański, więc palce u nóg nakształt płetwonogich ptaków szeroko rozstawiał, kroczył jak kot na łowach lub też skakał z kępiny na kępinę, ze spławu na spław, i zawsze uwieńczoną była jego praca pomyślnym skutkiem. Na wodzie znowu naśladował wydrę, nurkował za kaczką kilkakrotnie, pod wodą pływał, i na dnie częstokroć swej zdobyczy szukał. Tak był rozumny, że gdy błotem oblepiony przynosił zwierzynę ku wieczorowi, chodził się kąpać i pławić, aby błota do pokoju nie wnosić. Za dubeltami chodził jak agent policyjny i poznał podstawę polowania t. j. pomyślny wiatr, którego zawsze szukał, jakby myśliwy z profesyi. Na suchem polu dobrze służył, lecz widocznie bez rozkoszy i namiętności, wypełniał on ten obowiązek jako specyalista w innym kierunku jedynie ulegając rozkazom swego pana. Szczególny był to pies w swem zamiłowaniu i niepodległości, gdy jego właściciel przeniósł się do innego obwodu w suchem i garbatem położeniu, Parol powrócił do wsi stawami oblanej i opuścił swego pana. Przyprowadzono go, a on powtórnie dezerterował pomimo, że swemu panu służył przez lat pięć.

Dwie suki, jedna mała kurlandzka, druga z angielskim Setterem krzyżowana, miały szczególne a nader pożyteczne własności, nie oparte na instynkcie, lecz oczywiście doświadczeniem nabyte. Jak tylko zwietrzyły stado czy to cietrzewi, kuropatw, przepiórek lub kszyków, zacinały się chwilowo, potem stawały na przeciwnej stronie, obiegiwały do koła ptaki, spędzały do kupy, i gdy się zrywać poczynały, były w kupce i istny ptasi fajerwerk przedstawiały tak zbite, że pojedyńczych ptaków strzelać nie można było, i że na jeden strzał kilka spadało.

Widziałem dwa pracujące wyżły rzeczywiście wszechstronnie wykształcone i do każdego użytku doskonałe, na bagnie i suchem polu, a co jeszcze więcej zdumiewające to, że służyły za gończe i kundysy do dzików. Nie tylko znakomite tropowce lecz prześladowcy do tego stopnia, że śmierć dzika była zawsze jedynie kwestyą czasu, bo zginąć musiał, gdy tymczasem żaden z tych psów nawet przez niego cięty nie został. Dzikami poległymi z ich pomocą można było mieszkańców znacznego miasta nakarmić.

Nie skończyłbym opisów, nekrologów tych znakomitych moich pomocników w życiu myśliwskiem, snujących się w pamięci szeregiem dobroczyńców, więc nie chcę nużyć łaskawych czytelników i przystąpię do opisu zalet i wad wyżłów, zależących w części od ich wrodzonych zdolności, w części przeważnej zaś od krzyżowania i prowadzenia. Dobro nie zawsze wytwarza lepsze, lecz złe potęguje się w gorsze w dalszych generacyach. Są wady do poprawienia i sparaliżowania, są cnoty do udoskonalenia, lecz są też wady nie wyleczalne, i szkoda walki, pracy i poświęcenia z takimi psami. Złamanie psa siłą, tak nazwaną *par force* dresurą, jest według mego przekonania, opartego na doświadczeniu, nie korzystne a częstokroć zawodne. Pies staje się męczennikiem i niewolnikiem, traci chęć, wolę i instynkt, uczucie go żadne z myśliwym nie łączy, jest to funkcyonująca maszyna, podpadająca ustawicznemu zepsuciu. Jak w świecie miłość jest ogniwem, tak i w tej myśliwskiej spółce uczucie musi łączyć myśliwego z psem, a wtedy jest swoboda, wdzięczność, zamiłowanie i poświęcenie, wtedy wykształca się rozum, spryt i doświadczenie. (Dok. nast.)

MYSZOŁÓW WŁOCHATY

Archibuteo lagopus

(do ryciny)

Należy do familii jastrzębi, mieszka stale na Północy, żywi się głównie myszami, a przymiotnik „włochaty“ dodano mu, ponieważ łapy jego, jak u orła, aż po stopy, są porośnięte. Do nas przylatuje w późnej już jesieni i tem samem nie jest i być nie może równie szkodliwym jak inne jastrzębie, które u nas przebywają latem w porze gnieżdżenia się ptaków i rozpładzania zajęcy. Twierdzenie moje nieszkodliwości jego mogę oprzeć na długoletniem mojem badaniu. Otwierałem kilkadziesiąt żołądków tego ptaka już to w celu wybrania *wnętrzaków*, już też dla naocznego przekonania się o jego treści. Zawsze znachodziłem, tak w wolu jakoteż

w żołądku nic innego, jak tylko myszy. Z tego powodu należy myszołowa, jako dobroczyńcę gospodarstwa rolnego, szanować i raczej karę jak nadgrodę wyznaczać za zabicie jego. Dołączona rycina dostatecznie go cechuje. Na innem miejscu damy obszerny opis jego przyrody, życia i obyczajów — tu tylko dodamy, iż jest on jedyny z ptaków drapieżnych, który przez całą zimę unosi się po nad naszemi polami, krąży, wachluje, to wznosi się w górę to spuszcza ku ziemi, wyławiając setkami myszy, ową plagę rolnictwa. Po wykazanych na rycinie i przywiedzionych w tej krótkiej wzmiance znamionach charakterystycznych łatwo go odróżnić od jastrzębia gołębiarza *(astur palumbarius)*, który jako istotny, nader szkodliwy drapieżca, skazany jest wyrokiem nauki i doświadczenia na bezwzględne wytępienie, a którego dosadnie i umiejętnie nacechował w swojem dziele nasz zasłużony i gorliwy badacz przyrody, hr. Kazimierz Wodzicki.

W. Z.

ZIMOWE ŁOWY NA LITWIE

PRZEZ

ARTURA BARTHELSA.

I.

Kiedy nastanie ta zima głucha,
A z nią mróz, śniegi i gołoledzie,
Człek nie żonaty na szyby chucha,
Patrząc, czy jaki gość nie zajedzie.
Jeszcze w dzień sobie radzi, jak może,
Zajrzy do gumna, obejrzy stajnie,
Zajdzie do *świrna* [1]), gdzie mierzą zboże,
Kogoś ofuknie sobie zwyczajnie,
Pogada z żydem trochę pachciarzem,
Co słychać w świecie i okolicy
Albo z Abramkiem, swym arendarzem,
O cenach owsa albo pszenicy;
I siak tak, jakoś mu do wieczora
Godzin z dziesiątek wreszcie upłynie,
Ale jak przyjdzie wieczorna pora,
Pomimo książki i na kominie
Sutego ognia, nudno szalenie,
Więc mimowolnie nadstawia ucha,
Albo przez samo już nawyknienie
Stanie przy oknie, i w szybę chucha,
Wychucha dziurkę i zły, że zgoła
Nic nie zobaczył nudny powraca,
Przed komin siada, sługę zawoła,
I czas jak może tak sobie skraca,
Pali cygaro, każe dać gruszek,
Z dziesięć herbaty szklanek wypije,
Póki nareszcie zegar staruszek,
Jakiej dziesiątej już nie wybije,
Co już raz kończy nudy wieczora,
Uprzedza razem, że spać już pora.

II.

W takiem to właśnie ja usposobieniu,
Stojąc przy oknie i chuchając w szybę,
Kląłem bezżeństwu i osamotnieniu,
Które człowieka przemieniają w rybę
Jakąś usnietą, czy na wpół zmartwiałą,
Bez tej krwi ciepłej, która budzi w człeku
Pewną energię choćby nawet ciało
Mniej rzeźwe było przy podeszłym wieku.
Rzecz posuwając do subtylizacyi
Pełnych cierpkości, własnej mej obrazy,
A nawet uczuć wyższych abnegacyi,
Jużem powiedział sobie z dziesięć razy,
Między kominem a tą wychuchaną
Dziurką na szybie, — żem był głupi srodze,
Bo mógłbym dzisiaj mieć żonę kochaną,
A wyobraźni popuściwszy wodze,
Widziałem siebie z nią otoczonego
Sześciorgiem dzieci, różnej płci i wieku,
A nawet pono i wnuczka jednego
Admirowałem z donośnego beku;
Wśród nich siedziałem przy tymże kominie,
A żona karmiąc małego rosołkiem,
Drugą mnie ręką gładzi po łysinie,
Całując w czoło i zwąc mnie aniołkiem...
W tem me marzenie przerwało szczekanie,
Do okna! patrzę, ktoś z sanek wysiada,
Dusza przeczuła, że to polowanie,
I zaprosiny któregoś sąsiada.
Chwałaż ci Boże! — Co to tam za wrzawa?
— Z Lipówki, panie, Siemko strzelec z listem.
— Dawaj go — czytam: na jutro obława. .
A potem w stylu mniej już uroczystym:
— Przyjeżdżaj zatem kochany sąsiedzie,
Dwa duże, piękne i pewne niedźwiedzie!

III.

Do roboty z Andrzejem, choć wszystko gotowe,
Wyczyszczone jak lustro, świeci się jak nowe,
Jednak człowiek ogląda i bacznie przeziera
I fuzyę Lebedówkę i sztuciec Bekera,
I stary swój czerkieski kindżał, i ładunki,
I prochu angielskiego dwa czy trzy gatunki,
I wszystko, co potrzebne do takiej wyprawy,
Aby pięknie wystąpić i nie pokpić sprawy.
Torba, trąbka i harap, myśliwska lisiurka,
I buty za kolana, i sławucka burka,
Wszystko najszczegółowiej w koło obejrzane —
A Andrzej w zawiniątko krajką obwiązane
Bierze jeszcze (przezorna to już sztuka taka)
Surdut czarny, co u mnie pełni urząd fraka
W ważnych okolicznościach, choć ich mało mamy,
A zwłaszcza Mosterdzieju, gdzie są piękne damy.
Tam zaś są, gdzie ja jadę — a znacie je przecie,
Bo gospodynią domu jest to śliczne dziecię,
Zosia, którą na wiosnę z trudem mym nie małym
Poczciwemu Jasiowi, wiecie, wyswatałem...
Śliczna to dziś kobieta, a nawet i matka,
Bo ma już piskliwego nieznośnie gagatka,
Którego pan Ignacy, troskliwy dziadunio
Po całych dniach piastuje na przemian z babunią...
Szczęśliwe to domostwo!... jest w niem sens i statek,
Błogosławieństwo Boże, spokój i dostatek,
A zawsze ten litewski system na odwodzie,
Żeby przychód z rozchodem w zupełnej był zgodzie.

[1]) Swiren, spichrz zbożowy.

To też żyją jak w raju, a że serca mają
Zacne, i pomną zawsze, że mi zawdzięczają,
Trochę szczęścia, więc dla mnie są, jak dwa anioły,
I nie dziw, że to dla mnie zawsze dzień wesoły,
Być z nimi, lub być u nich, no a tem ci bardziej,
Że człowiek i obiadkiem porządnym nie gardzi,
I popolować lubi, a zacne Janisko,
Ma i dobry apetyt i duszę myśliwską...
Choć mu więc młodej żony wdzięczne przymilania
Staną nie raz na poprzek co do polowania,
Bo licho się tam oprze (nie mówię wyprosi)
Uśmieszkowi złotemu takiej ślicznej Zosi,
Tak, że i lato przeszło dosyć ślamazarnie,
I nie mało zwierzyny uszło nam bezkarnie;
Jednak jak do niedźwiedzi doszło, z żalem wielkim
Wstrzymać się trzeba było nieco z pantofelkiem,
Którym lubią wojować, i bardzo niestety
Wszystkie może, lecz nasze szczególniej kobiety,
I kilku całusami załatwiwszy sprawę
Zgodzono się nareszcie na straszną wyprawę,
Na której (i tu łezki polały się ciurkiem)
Jasio mógłby się spotkać z niedźwiedzim pazurkiem!
No, no, no, moja Pani, tylko bez przesady
Jaś potrafi sam sobie z niedźwiedziem dać rady,
Bo ich nabił nie mało i wszystkim im sprostał,
Nim się pod pantofelek Jejmościulki dostał;
A wreszcie ja od czego? — zje diabła Mosanie,
Nim się do Jasia skóry w oczach mych dostanie,
Prędzejbym oddał własną, bo gruba i stara,
I nie wielka z niej ludziom i Bogu ofiara...
Ale precz z filozofią, zawsze diabła wartą,
Spać... a jutro z Andrzejem przed godziną czwartą
Marsz w drogę, sanna dobra, nie wielkie trzy mile,
Kłusikiem przestrzeń taką przelecim za chwilę.

IV.

Zajeżdżamy przed ganek, choć to jeszcze rano,
Na dziedzińcu ruch wielki, myśliwstwo się rusza,
Na wozy wszystkie pieski już rozlokowano,
A dojeżdżacz Daniłko, najpoczciwsza dusza,
(Jak nie zaleje pałki) w butach za kolana,
Z trąbą, z harapnikiem w ręku dojeżdżackim,
W kożuszku oberwanym i czapce z barana
Uwija się wśród wozów na koniu kozackim,
Potem wyjechał naprzód, zatrąbił i sanie
Ruszyły sobie stępo, z kotłowymi pieszo,
A pieski przeczuwając dobre polowanie,
Wesołem skowytaniem dozorców swych cieszą...
— A gdzie Hryć — zapytuję? — W ostępie już dawno,
Musieli już i objąć i ognie rozłożyć...
— Jedźcie z Bogiem — znam Hrycia znajomość wytrawną,
Że on nie pokpi sprawy, można się założyć.
Nie leśniczy to żaden uczony Mosanie,
Ale *executivus* od stu diabłów krzepki,
A zna jak nikt osokę, las i polowanie,
Choć mu i w wszystkiem zresztą niebrak piątej klepki
Prosty chłop, nie piśmienny, ale ma rozsądku
Za dziesięciu, co w szkołach uczyli się długo,
A przy zamiłowaniu, pracy i porządku
Jeszcze jest po staremu najwierniejszym sługą,
Jakich tylko już można w naszym znaleść kraju,
Jakich może niestety, nim ten wiek upłynie,
W obec przewrotu mowy, tradycyi, zwyczaju,
Ostatnie, jak to mówią, nasienie zaginie!
A tyleż było szczęścia na Litwie i życia
Póki takiego wszędzie znaleść mogłeś Hrycia;

V.

Aż w tem na ganek wybiega zgraja,
A między nimi niewieście główki,
— Konie do stajni! — Jaś do lokaja
Woła, całując mnie z dubeltówki,
Twoje niech spoczną.. a teraz panie
Proszę do chaty — i na śniadanie.
I już mnie Zosia prześlicznym wita
Uśmieszkiem swoim, w którym gorączki
Lekki ślad widać, a ja z kopyta
Puc, puc, Mosanie w obiedwie rączki,
Jak każe panie dobra maniera
I jak przystało na kawalera...
A tu Ignacy i Ignacowa
I Piotr poczciwy, i Roch z Pawełkiem,
I czarnobrewa pani Pawłowa,
A za Piotrusiem z jakimś węzełkiem,
Stoi Elżunia, gosposia wielka,
I młodsza siostra jej, Izabelka...
Ja więc puc znowu w rączki te panie
Uściskał mężczyzn, ilu ich było,
I zasiedliśmy w koło śniadanie,
Na ktore dobrze się zasłużyło,
Bo apetytu nic tak nie budzi
Jak widok stołu i dobrych ludzi.
A tu przed nami, jak na wystawie,
Ciasta, pieczywa, wędlinka nasza,
A przy wykwintnej w koło zastawie
Nawet poczciwe zrazy i kasza...
— Od czego Sędzia zacznie łaskawy?
Może herbaty, a może kawy?
— Od staruszeczki jeżeli łaska,
Nic tak żołądka dobrze nie grzeje,
Kawa to panie moda warszawska,
I na żelazne dobra koleje,
Ale nie u nas przy tęgim mrozie,
Jak się przejedziesz na prostym wozie.
Więc od staruszki zaczęta sprawa,
Niech się w herbatki bawią kobiety,
Jedna po drugiej znika potrawa
Pieczeń, rulada, zrazy, kotlety,
Koniec Mosanie godzien jest wstępu,
W tem Jaś powiada: „Czas do ostępu!
Ruszyła szlachta, powstały damy,
A chociaż u nich wszystko jest w miarę,
Na oczach każdej żony lub mamy,
Widny niepokój, nawet łez parę,
A Zosia patrząc na Jasia z boku
Szepcze mi w ucho: — Miej go na oku!
— Na miłość Boską, bądźże spokojna,
Na godzin kilka wszak tylko jedziem,
A to dalipan przecież nie wojna,
Krótka rozprawa z głupim niedźwiedziem,
Oj żeby tylko takie nam biedy,
A żadnych innych doczekać kiedy!
Ale co widzę — czyste nasłanie!
Jakoś Elżunia patrzy na Rocha

Tęskno diabelnie, a nuż Mosanie
Panienka jego może i kocha.
Nic by tak złego... a Roch cebula
Nic się widokiem tym nie rozczula!
Wychodzim wreszcie wszyscy na ganek,
Wśród mnóstwa ludzi zaciekawionych,
I do trzech długich siadamy sanek.
Po parze koni wciąż zaprzężonych,
Bo drogi wązkie w polu i w lesie.
Co jazdą *szydłem* na Litwie zwie się.
Już ruszać mamy, lecz gdzież Ignacy?
Poszedł się jeszcze popieścić z wnukiem,
To safanduła! Już my polacy
Gotowi siedzieć przy piecu krukiem,
Gdy da nam Pan Bóg na stare lata
Wnuczka, co piszczy: Dziadzia i Tata!
Ale jest przecie... Hola! ruszamy,
Żegnamy niskiem głowy schyleniem
Wszystkie się z okien patrzące damy,
Ale się żadna nie rwie z życzeniem,
Bo wie już każda panna ostrożna,
Że polowania życzyć nie można. [2])
I już za bramą. Rznie Jaś po przedzie
Na dzielnej panie parze srokaczów,...
Ignacy do mnie: — A co sąsiedzie!
Czy kontent jesteś z moich smarkaczów
Jasia i Zosi? To się dobrali
A jeszcze wnuka jakiego dali!
A jakie w domu u nich wybryki,
Czego tam niema — dodaje znowu —
Bydło prześliczne tęgie koniki,
A wszystko panie własnego chowu,
A co ty powiesz na to sąsiedzie,
Kuchnia za nami do lasu jedzie!
— O ho, ho, zda się — powiadam — zda się,
Chociaż po dobrem człowiek śniadaniu,
Kawał pieczeni zawsze na czasie
Z kieliszkiem starki po polowaniu.
A choćby przytem i piwa dzbanek —
Ale sąsiedzie, cóż to za ranek!
Patrz no, to słońce jakie wspaniałe,
I jak przecudnie razem z lasami
Oświeca wzgórza i pola białe
Śniegiem i rannej mgły tumanami!
A mój Ignacy na to: — U Jana
Gorzelnia z gruntu zrestaurowana.

VI.

Widzę, że z mym Ignacym nie dojdę już sprawy,
Cały zajęty Jasiem, Zosią i ich synem,
Słucham zatem półuchem, nie nazbyt ciekawej
Relacyi o tem wszystkiem, lecz aby klin klinem
Wybić, rozmyślam sobie, co się to z człowiekiem
Za dziwne robią zmiany pod wielu względami,
A zwłaszcza usposobień i jakie to z wiekiem
Robią się safanduły z nas wielkie czasami...
Ignacy, ów gospodarz skrzętny, pracowity,
W interesach, procesach i rachunkach cały,
Co więcej o wydatek dbał swej okowity,
Jak o wszystkie czułostki i wszelkie pochwały,
Od czasu, jak ma zięcia, i wnuka doczekał,
Po całych dniach by obu czcił, pieścił i chwalił,
I pewnieby na losy nawet nie narzekał,
Gdyby mu wnuczek gumno lub stodołę spalił.
Na Jasia zdał już wszystko. Jaś rządzcą majątku,
Dysponuje, rozrządza, rachuje i pisze,
A on sam najszczęśliwszy, jak usiadłszy w kątku,
Wnuczka swego popieści, albo pokołysze!
Wprawdzie na tem nie traci, bo Jaś gębą całą
Gospodarz i pociecha dla Boga i ludzi,
Ma więc Ignacy słuszność, ale tego mało,
Dlaczegoż nas tak wszystkich wnuczkiem swoim nudzi
Ja mu coś o bekasach, on mnie o nim z tatą,
Ja znowu o cietrzewiach, a on o nim z mamą,
Ja wreszcie o niedźwiedziach, a on panie na to
Jak kulą w płot trafiwszy — znów wali to samo!
Szczęściem, że droga dobra i że jedziem lasem,
Gdzie co krok tropy jakieś człowiek rozpoznaje,
Tu zajączek, tu lisek, tam sarna, łoś czasem,
Że nie sami nudziarze na świecie, znać daje.
I dojeżdżamy wreszcie do wioski, gdzie konie
Rzucamy, bo już dalej pojedziem szkapami
Chłopskiemi, koń nasz bowiem z uszami zatonie,
Gdzie chłopski się przekopie, między wywrotami.

VII.

Mało kto jechał chłopskim konikiem,
Przysadkowatym, silnym i sfornym,
W poleskich saniach, z tym półkoszykiem,
Który oparciem jest przewybornem,
Bo tak się siedzi w nim, albo leży,
I spi rozkosznie, marzy niebiesko,
Że nie masz, nie masz, niech mi pan wierzy,
Nad naszą jazdę w zimie poleską!...
Dziesiątek sani przed nami czesze,
Zagrzane gęsto *puszką* [3]) i hukiem,
Koniki biegą, a ja się cieszę,
I gadu, gadu z mym poleszukiem, —
Ten o niedźwiedziu mi opowiada,
Którego dzisiaj spolować mamy,
Że to jest *harbiel* [4]) panie nie lada,
I *białoszyjek*, że już od samej
Jesieni często go widywano
W owsach i hreczkach, że zdarł dwie barcie
Kalejnikowe [5]) przez jedno rano,
I że *Kalejnik* stojąc na warcie
Tuż pod *pałatką* [6]), ukryty w krzaku,
Na oczy widział, jak ją plondrował,
Aż tchu zostało mało w biedaku,
A tak się przeląkł, że zachorował,
A to nie żarty, bo Kalejnika
Byle co bardzo tak nie przestraszy,
Z dziadów, pradziadów bartnik z bartnika,
I zna pień każdy w tej puszczy naszej...
Ale że ojca zadarł niedźwiadek,
I dziad też umarł z zadanej rany,

[2]) Przesąd myśliwski, że życzenia dam szkodzą polowaniu — dla zażegnania uroku musiała panna gołe myśliwym ukazać kolanko.

[3]) *Puszka*, *puha*, bicz krótki chłopski.

[4]) *Harbiel*, garbaty, garbus.

[5]) *Kalejnik*, nazwisko bartnika ze wsi Otwerzyc, którego dziad i ojciec zginęli od niedźwiedzi, — w artykuliku o niedźwiedziach mówię o nim.

[6]) *Pałatka*, pomost z drzewa pod barcią, broniący do niej przystępu.

Więc i on biedny na ten przypadek,
Musi być codzień przygotowany...
Tak rozmyślając nad Kalejnikiem,
Zjeżdżamy z drogi w śnieg aż po brzuchy
Konikom naszym, za przewodnikiem
Przysłanym z wieścią, pełną otuchy,
Że już na *czercie* [7]) ogień się pali
I poszła *poklicz:* kab pilnowali!

VIII.

Chociaż ostęp nie daleko,
Jedną staję, drugą,
Ale koniska się wleką
Nieskończenie długo;
Zawał ciągle za zawałem,
A kłoda za kłodą
Nie pojedziesz tu już cwałem
I angielską modą;
Zjadłby diabła folblut jaki
Najsławniejszy z biegu,
Po dwóch wiorstach drogi takiej
Leżałby już w śniegu...
Oj żeby zamiast się bawić
W angielskie nowinki,
Zechciał kto nasze poprawić
Krajowe stadninki,
Lepiejby się oczywiście
Krajowi zasłużył,
A miałby większe korzyście,
I mniej się zadłużył ..
Ale diabeł tam zaradzi
Nawyknienia sile,
I raz z mody wyprowadzi
Te końskie profile,
Będą ci zawsze hodować
Angielskie kaleki,
I najskuteczniej trenować
Własne hypoteki!...
Ale otóż ostęp, dymem
Pachnący z daleka,
Najwytworniejszym też rymem
Człek się nie doczeka
Opisać go, uczcić razem,
Jakby warto panie,
Bodajto jednym wyrazem
Nasze polowanie!

IX.

Hryć przy ognisku
Przed panem staje,
I po myśliwsku
Raport swój zdaje.
Cała uwaga
Nań jest zwróconą,
Gdzie lasu waga
Wytłumaczono;
Gdzie, z której strony,
Wnosić należy,
Psami pędzony
Niedźwiedź wybieży;
Zdyskutowany
(Co wiele znaczy)
Punkt wprzód obrany
Dla dojeżdżaczy;
Którzy leśnicy
Budki [8]) gdzie *ładzą* [9]),
A osocznicy
Psy poprowadzą,
Że na początku
Tylko półtory,
Potem z porządku
Dwie spuszczą sfory,
A gdy tę całą
Już przetrą puszczę,
Wtedy już śmiało
Resztę wypuszczą.
Jeszcze i o tem
Pobieżna wzmianka,
Zeby nad błotem
Stała naganka;
Wreszcie — znać z nieba
Południe blisko,
I ruszać trzeba
Na stanowisko.
My więc za jego
Dobrym przykładem,
Dalej gęsiego
Zrobionym śladem;
Kto podpierając
Kroki dębczakiem,
A kto żegnając
Się krzyża znakiem,
Bo jak nie lubem
Uczuciem sława,
Zawsze to z grubem
Zwierzem jest sprawa.

X.

Idziemy kawał czertą, chłop przy chłopie stoi,
A przed każdym ognisko i stos suchej leży,
Co staje zbrojny leśnik przy dziesiątce swojej,
A Hryć idąc po przedzie, w myśliwskiej odzieży,
Z *rososzką* [10]) w jednej ręce, z harapnikiem w drugiej,
Mijając ich każdego sfuknie lub pochwali,
Stosownie do niedbalstwa, albo też zasługi,
Zawsze z tem zastrzeżeniem: *Bacz, kab pilnowali!* [11])
Potem rzucił się w ostęp, my za jego śladem
Przez zawały i kłody, wywrocie i pniaki,
My jak myszy spotniali, a on z czołem bladem
I suchem, jakby chodził po posadzce jakiej...
Patrzymy, jedna budka z jodełek zatkanych
W śnieg głęboki, a przy niej jej budowniczowie —
Hryć spojrzał po nas wszystkich, mocno zasapanych,
I wskazując rosochą rzekł: Tutaj panowie...
Ignacy z Piotrem został — patrzymy znów dalej,
Druga budka — postawił Pawełka i Rocha —

---

[7]) *Czerta*, linija okalająca ostęp, na której stoi przy ogniach obława.

[8]) *Budka*, miejsce na stanowisko obrane, ostawione jodełkami w śnieg zatkniętemi.

[9]) *Ładzić budki*, zamiast robić budki.

[10]) *Rososzka, rosocha*, kij na końcu z widełkami, którego Poleszuki używają.

[11]) *Patrz, żeby pilnowali.*

A my nim ruszym dalej, chwilęśmy postali,
Żeby nieco odetchnąć i wysapać trocha...
Nakoniec trzecia budka, ukryta w gęstwinie
Jelniaku, z karłowatą sosną po połowie...
— Że tej budki już niedźwiedź dalipan nie minie —
Rzecze Hryć — to ja ręczę... Stójcie tu panowie,
A ja tylko zatrąbię. — Wziął trąbke do ręki,
Zadął, poczekał chwilę nadstawiając ucha —
— Jest i trąba Daniłki, dobrze. Bogu dzięki,
Że usłyszał, bo *nawiś* [12]) i wiatr do nas dmucha,
Pilnujcież tu panowie, a ja pójdę sobie
Na czertę — i wyruszył nazad z leśnikami,
Którzy jak adjutanci przy jego osobie
Do posyłek służyli. — Zostaliśmy sami,
I stoim. — Słychać trąbę Daniłki daleko
Ostęp szalenie długi — utrapienie czyste!
Bodaj czy niedźwiedź *łochwy* [13]) nie zrobił nad rzeką,
Bo tam miejsca zarosłe i strasznie zwaliste.
Mamy czas się rozpatrzeć w naszem stanowisku,
Aha! tutaj leśnicy linię przetrzebili,
Ot, i jeszcze dwie drugie... tęgo, po myśliwsku,
Nie chcieli, żeby Pany, sami się trudzili,
Linije dobre, szerokie, a prócz nich są luki,
Przez które strzelić można, jeśli się nawinie
Na strzał i nie przez *nogę* [14]), a prawdziwej sztuki
Dokaże, jeśli nam się od strzału wywinie...
Stójmy więc i słuchajmy — trąbę słychać grubą,
I *huż! huż!* dojeżdżaczy dochodzi wyraźnie,
Zresztą cisza zupełna, a nam stać tak lubo,
I na duszy wesoło, i w sercach tak raźnie...
Coraz bliżej też słychać plask, plask z harapnika,
Po każdym *huż* Daniłki i dwóch osoczników —
A przerywa je tylko: *podawaj!* leśnika,
Do linii pilnujących czerty obławników...
Jednak co to jest, jeszcze nie słychać coś gonu?
Już i zamarzłą rzeczkę zapewne przebyli,
A nie słyszym żadnego znajomego tonu
Artystów, co nas głosem swym nieraz cieszyli —
Idą, zdaje się dobrze, zajmują szeroko,
W tem *hup*, *hup!* bas się ozwał, *hup*, *hup*, *hup* powtórzył.
— Jest — powiadam do Jasia — spotkał go na oko,
Naszczekuje na miejscu, na order zasłużył,
To *Cymbał*, znam głos jego, ot i głos *Zagraja*,
Jest niedźwiedź!... bo gdzie oni, tam już wszystko zmierza,
A zaraz się odezwie i żydowska *Choja*,
Jedyna, ci powiadam, na grubego zwierza —
Hup, *hup*, a tu w ślad za tem i *a ja jaj* Chajki,
I gon poszedł jak w garnku, że aż w gwar przechodzi,
Mnie się aż coś już robi, i nie żadne bajki,
Że serce jak w tartaku tam i nazad chodzi...
Dun, *dun*, ogromnym basem Daniłko z *berłogi* [15])
Otrębuje niedźwiedzia — nie ma wątpliwości,
Nie łoś to, ani dziczek, drżą podemną nogi,
Nie tyle jeszcze z szczęścia, jak z niecierpliwości.

(Ciąg dalszy nastąpi).

---

[12]) *Nawiś*, śnieg na drzewach leżący.
[13]) *Łohwa*, legowisko niedźwiedzia.
[14]) *Przez nogę*, galop.
[15]) *Berłoga*, to samo co łohwa, na Litwie i Polesiu mało używane na Białorusi więcej.

WSPOMNIENIA

Przez

ANIELĘ z BUKOWSKICH ZAŁĘSKĄ.

Zadosyć czyniąc wezwaniu szan. redakcyi „Łowca“ przesyłam jej kilka szczegółów z życia mojego ojca, głównie zaś przysłużyć się mogę wskazaniem znakomitych myśliwych, wiernych towarzyszów mego ojca, których potomkowie dotąd żyją i mogą ciekawszych szczegółów dostarczyć.

Może się rozpiszę nad zakres właściwy (na starość gawędka o dawnych czasach ponętna), zdaje mi się jednak, że dla obecnej młodej generacyi nie bez interesu być mogą obrazy dawniejszych czasów, rysy charakterów, obyczajów, stosunków ówczesnych i stosunku dworu Sredniańskiego do gromady.

Pan Jerzy *) był synem zamożnego szlachcica Michała Bukowskiego, Podkomorzego sanockiego, dziedzica Nozdrzca. Dwór to był wystawny, szczególnie konie i myśliwstwo starannie były utrzymywane. O szkołach dla paniczów nie było mowy, trzymano dyrektorów i metrów, z czego korzystał starszy syn, młodszy zaś Jurcio tyle miał w temperamencie życia i ruchliwości, że długiej sedenteryi przy nauce nie znosił, ale za to w ćwiczeniach fizycznych nikt mu nie dorównał, w 12ym roku życia dzielnie jeździł na koniu, celnie strzelał, miał już swoje konie, swoje psy i swoich ludzi. Nie było rowu, płota, któregoby nie przesadził, głębi którejby nie przepłynął, niebezpieczeństwa z któremby się nie zmierzył, wytrwały, siły niepospolitej, przy najszlachetniejszem i czułem sercu i grzeczności kawalerskiej dla dam.

Objąwszy majątek własny urządził myśliwstwo na wielką skalę, utrzymywał porządek i rygor wojskowy, subordynacyą między licznymi strzelcami, nie obeszło się czasem bez kary, ale zawsze tak sprawiedliwej, że karani czuli, iż zasłużyli na nią. Było kilkadziesiąt koni wierzchowych na stajni, kilkadziesiąt sfór psów: ogarów, chartów, gończych, legawych, jamników, było kilku strzelców, a chłopaków ze wsi wyćwiczonych do polowania kilkunastu. Był stary Mroczkowski, który układał ptaki do łowów, były krogulce, jastrzębie, podobno i sokoły. W skórzanej rękawicy, dzień i noc nosił biednego ptaka na łańcuszku z dzwoneczkami, sypiać mu nie dając, dopóki edukacyi nie skończył,

Moja matka z dziećmi i nieustannymi gośćmi, którzy familiami po kilka tygodni przesiadywali w Średni, mieszkała we dworze, mój ojciec zaś miał w oficynie trzy duże izby dla siebie. W pierwszej był komin, w którym gotowano strawę dla strzelców, dodnia wyjeżdżających. W tej izbie stał warstat sieciarski, rymarski, ślusarski (byli we wsi osiedleni doskonali krawcy, szewcy, cieśle, kowale, stolarze, wszyscy kosztem mego ojca wyuczeni). W drugiej izbie był rodzaj kancelaryi, a w niej i w trzeciej ściany były obstawione szklannemi szafami ze strzelbami, kordelasami, pałaszami, pistoletami itd. Trąbki, rogi, torby, rogi jelenie zapełniały miejsca próżne, zamiast kobierca podłoga pokryta wyprawnemi skórami faworytów psów i koni. Przybór był kompletny do polowania na wszystkie pory roku. Wyjeżdżano do dnia, wracano wieczorem, tak było zwyczajnie, ale często bywały proszone polowania. Stałymi towarzyszami mojego

---

*) Jerzy Bukowski, znakomity swego czasu myśliwy, znanym był w całej Polsce. Należy on do typów polskiego myśliwstwa.

ojca byli: hr. Ksawery Krasicki z Liska, Leon Horodyski z Bilinki, gdzie jeszcze żyje i poluje jego wnuk, Piotr Komorowski, Tyszkowscy z Trójcy i Huwnik, których synowie tam jeszcze żyją i polują, Romanowski z Rzeczycy. Ci panowie zjeżdżali się do Średni, i wtenczas urządzano wyprawę na grubego zwierza, przygotowywano naboje, czyszczono strzelby, w kuchni pieczono, warzono, ładowano wozy z prowiantami. Przed świtem trąbiono pobudkę, panowie i służba śniadali, obroki dawano, psy sforowano itd. Na drugi odgłos trąbki wszystko się ustawiało w ordynku wojskowym, siadano na koń (nigdy żaden z panów bryczką nie jechał). Na karym, grubopłaskim tatarze, pełnym ognia, nieustraszonym i nieochybnym w nogach jechał na przedzie mój ojciec, zawsze w kurcie zielonej, w zimie lisami podbitej i w skórzanem ubraniu. Wracali zawsze w wieczór z takim samym animuszem, gwarem, szczękiem i brzękiem, z jakim wyjeżdżali. Rozkładano na ganku masę zwierzyny, oprócz zajęców i lisów, dziki, niedźwiedzie, jelenie. Wszyscy ze dworu musieli wyjść oglądać i admirować. Opatrywano ogary z rozpłatanymi bokami, zaszywano skórę i obszywano w połcie słoniny

Stoły nakryte czekały, uczta obfita, wina moc, rozmowa ożywiona grzmiała, huczała po sali. Opowiadano zdarzenia, sławiono albo ganiono psy, czasem się posprzeczano, zawsze przechwalano odnosząc się do służących u stołu strzelców, którzy chórem odpowiadali: Prawda panie! — Podochoceni panowie wynurzali wzajemnie swoje sentymenta, ściskali się, całowali, zaprzysięgali sobie wieczną przyjaźń (i tę sobie do śmierci dochowali). Spiewano patryotyczne pieśni, płakano nad upadkiem ojczyzny, pito zdrowia dam obecnych z ich trzewiczków itd. Uczty te tak częste i na tak wielkie rozmiary wyprawiane, może nie tyle kosztowały, ile teraźniejsze recepcye. Wszystko było smaczne, wszystkiego obficie, ale wszystko domowe, zwierzyna. drób, mięsiwa, ryby i raki — wszystko domorosłe. Wino węgierskie, nie zagraniczne, ani *chasse caffé*, ani pasztetów sztrasburgskich, ani raków morskich, ani poziomek w Styczniu. Na wielkie uroczystości bywał szampan i na środku stołu sążnista piramida z cyfrą solenizanta, składana z tabliczek jakiegoś słodkiego ciasta, karmelem sklejanych. W jednym dniu obchodzono wesele mojej siostry i moje chrzciny, było ze 60 osób i podano kilka półmisków jakiegoś pasztetowego farszu z bekasów, najeżonego bekasiemi łapkami i dziobami. — Bażanty chowano w domu.

Wyżej wymienieni panowie mieli w dobrach swoich obszerne lasy, i kolejno urządzali polowania. Ale jeszcze im nie było dosyć, więc mój ojciec dzierżawił górskie wioski pod Beskidami, — produkowano siano i owies dla koni, na osepki dla psów i na chleb dla ludzi, omastę i inne wiktuały sprowadzano ze Sredni. Tam całymi tygodniami polowano, mieszcząc się w budach, szałasach, w niewygodach, wystawieni na wichry i słoty, ale zawsze wytrwale, rzeźwo, z namiętnem zamiłowaniem. Trudno spamiętać wszystkich wypadków śmiercią grożących w tych zapasach z dzikami, niedźwiedziami, w których ratunek zawdzięczał mój ojciec tylko swojej niesłychanej przytomności, sile i zręczności. Nogi po kolana pokryte miał bliznami, pocięte od dzików.

Starzy myśliwi mego ojca wyrabiali się na wcale niepospolitych ludzi. W ciągłem zbliżeniu się do Panów nabywali pewnej ogłady, wiadomości, nawet wyższych sentymentów, a to ciągłe przebywanie pod gołem niebem wśród gór i lasów, w różnych porach roku, w dzień i w nocy, powodowało do badania tajemnic natury, w którem zadziwiające postępy robili. Znali godziny bez zegarka, umieli się według słońca orientować w nieznajomem miejscu, śród borów i na działach śniegiem zasypanych, umieli przepowiadać pogodę czy słotę, wiatr czy burzę, jaka będzie która pora roku, doskonale znali naturę i własności zwierząt, ptaków, drzew i roślin itp. Opowiadali rozmaite legendy, widzenia a raczej przewidzenia. Stary nasz Stefan, na którego ręku mój ojciec i mój brat Bogu ducha oddali, a którego ja niedawno pochowałam, który swoje dziś już nie praktykowane przywiązanie do Panów do trzeciego pokolenia naszego dochował, opowiadał, jak raz w nocy czuwając w głębokim jarze w Beskidzie, z fajeczką, manierką wódki przy boku i przed rozpalonem ogniskiem spostrzegł jakąś niekształtną postać, zbliżającą się do ognia, myślał, że jakiś zwierz i porwał za strzelbę, ale w tej chwili owa postać wyprostowawszy się przybrała kształt ludzki, więc spuścił strzelbę, a po chwili ten potwór zbliżył się do niego tak, że mógł w nim rozpoznać człowieka bez żadnego okrycia, głowa, piersi i ręce silnie obrośnięte, a skóra szara, chropowata, twarda jak kora dębowa. Stefan przysięgał, że to był dziki człowiek, który przeraźliwym głosem czasem odzywał się, że przychodził się grzać przy ogniu i chciwie pożerał chleb i kartofle, które mu rzucano.

PROJEKT REGULAMINU DLA MYŚLIWYCH

PRZEZ

DRA Z. R.

Myśliwstwo, któremu dawniej oddawali się przeważnie ludzie zamieszkali na wsi, zyskało od pewnego czasu bardzo wielu miłośników, którzy korzystając z wolnej od miejskich zajęć chwili wyjeżdżają chętnie na wszelkiego rodzaju polowania, jużto dla rozrywki, jużto dla przewietrzenia się po biurowej lub naukowej pracy. Nawet młodzież, synowie obywateli ziemskich, którzy dawniej niezbyt obarczeni naukami, wcześnie osiadali na ojcowiźnie, dziś cały wiek pierwszej młodości przebywają w miastach, krótki tylko czas feryi przepędzając na wsi.

Ztąd to pochodzi, że jakkolwiek zwiększył się zastęp miłośników polowania, to jednak znacznie mniej bywa myśliwych, którzy dostatecznie byliby obeznani z prawidłami myśliwskiego zawodu. Niema prawie polowania, na któremby się nie spotykało usterek w zachowaniu się myśliwych, które jak z jednej strony spowodować mogą przykre, a czasem nawet tragiczne wypadki, tak z drugiej myśliwym, biorącym rzeczy na seryo, psują częstokroć cały powab polowania i rezultat tegoż na szwank narażają.

Te to doświadczenia powodują nas do skreślenia niejako Regulaminu zachowania się na polowaniu, który oby przez czytelników dobrze przyjętym i przez wszystkich myśliwych jako obowiązujący uznanym został

I. Wyjazd na polowanie.

1.

Myśliwy wybierający się na polowanie, winien mieć broń czystą, przybory wszelkie w porządku, odzienie odpowiednie do pory, ciepłe, lekkie i nie tamujące chodu i wszelkich poruszeń, o ile możności barwy cisawej lub szaraczkowej.

2.

Wsiadając na wozy lub sanie trzyma się broń nie nabitą przy sobie lub oddaje służącemu. — Strzelby odprzodowe mogą być nabite, jednak bez kapiszonów (kabzli).

3.

Wyjeżdżając do kniei, w której się ma polować, ustać powinny głośne rozmowy, śmiechy i spiewy, dzwonki od sani się odpinają, jeżeli takowych już w domu nie pozostawiono.

4.

Stanąwszy na miejscu zboru wysiada się spokojnie, przyrządza broń i wyczekuje hasła do pochodu na stanowiska. Przestrzelanie strzelb prochem, a nawet kabzlami nie powinno być cierpianem.

5.

Jeżeli w miocie, który ma być zajęty, spodziewane są dziki, wilki, sarny lub lisy, pochód na stanowiska winien się odbywać cicho, nie paląc tytoniu i tylko szepcąc można rozmawiać. Pochód rozpoczyna ten, który stanowiska wskazuje, i zawsze powinien przodować. Wyprzedzanie go, przyczynia mu trudu dopędzania, lub zmusza do nawoływania, którego się winno unikać. Broń nosi się przewieszoną przez ramię lub szyję lufami do góry, jeżeli zaś deszcz pada ulewny lub wielka dmie śnieżyca, można lufy spuścić ku ziemi, a w takim razie bezpieczniej wyjąć naboje, — w kierunku poziomym nigdy strzelby nosić nie należy.

6.

Jeżeli w czasie pochodu pomknie zwierz jaki, nie strzela się doń, ani też głośno zwraca na to uwagę.

II. Stanowisko.

7.

Myśliwy zajmuje stanowisko wskazane mu przez kierującego polowaniem i nie opuszcza go aż do ukończenia miotu. Dla wyboru dogodnego miejsca wolno mu kilka kroków postąpić, nie zbaczając jednakże z wytkniętej linii. Czy myśliwy stanąć ma przed lub za drzewem albo za krzakiem, pozostawia się nawyknieniu i wyborowi. Odwiedziny na sąsiednie stanowiska nie są dozwolone.

8.

Jeżeli polowanie odbywa się w lesie, zajmuje się stanowiska pod miotem, który ma być spolowanym. Jeżeli zaś na jasnym zrębie, łące lub w polu, trzeba ile możności zachować linię prostą, wizując na trzecie stanowisko z jednej strony, lub równając się według obudwóch sąsiadów.

9.

Myśliwy wybrawszy i zająwszy stanowisko, ogląda się naprzód na obu sąsiadów, i jeżeli który z nich nie jest widzialnym, porozumiewa się z nim za pomocą lekkiego gwizdnięcia i poruszeniem ręki lub czapki stara się być dostrzeżonym.

10.

Dla wygodniejszego strzału wolno jest zgiąć lub złamać kilka małych gałązek, jednak łamanie grubszych drzewek lub wycinanie takowych kordelasem jest wzbronione.

11.

Siąkanie nosa, kichanie lub kaszlanie winno być ile możności tłumionem.

12.

Stanowisko opuszcza się dopiero wtedy, gdy gońce wyszli na linią strzelców, lub psy gończe takową minęły.

Przy polowaniu na dziki z brytanami jest rzeczą porozumienia się myśliwych, czy i któremu z nich dozwolonem jest zapuścić się w miot w celu spotkania się ze zwierzem.

13.

Na stanowisku skrzydłowem, zwanem także flankowem, winien myśliwy pozostać tak długo, aż go naganiacze wyminą na odległość jednego stanowiska, poczem dopiero wolno postępować ku głównej linii, trzymając się jednak ciągle kierunku stanowisk.

III. O strzale.

14.

Myśliwy strzela albo w miot lub po za siebie, nigdy na linią strzelców. W tym celu upatruje sobie z prawej i lewej strony granice strzału, oznaczając drzewo, krzak lub inny widoczny przedmiot, od którego do linii strzelców już mu strzelać nie wypada. — Jeżeli las przecięty jest szerokiemi liniami, wolno strzelać na samej linii, lub szerokiej drodze, jeżeli zaś linia lub drożyna jest wązką, strzela się w miot będący w plecach.

15.

Jeżeli gońce zbliżyli się na 100 kroków ku linii myśliwych, nie wypada już strzelać w miot, chyba na odległość bardzo bliską, np. 10 do 15 kroków, i to wtedy, gdy ziemia nie jest twardo zmarzniętą lub skorupą lodu pokrytą.

16.

Dobijanie strzałem zwierza postrzelonego przez innego myśliwego, nie jest w porządku, chyba że tenże sam o to prosi.

17.

Chcąc ostrzedz sąsiada o zbliżającej się zwierzynie, której tenże nie widzi, można, jeżeli to jest zając, zawołać półgłosem *„pilnuj“*, jeżeli dzik, lis lub sarna, skinieniem palca, jeżeli wilk, żadnych nie dawać znaków.

IV. Po miocie.

18.

Po skończonym miocie wolno jest myśliwemu opatrzeć miejsce strzału i sprawdzić, czy zwierz leży lub farbuje, nie powinien jednak zapuszczać się w miot, który spolowano, dalej jak na 100 kroków, zaś w miot w plecach będący nie polowany jeszcze, wcale nie. Rzeczą jest kierującego polowaniem, czy i komu dozwoli iść za zwierzyną postrzeloną, i takową dobić lub otropić.

19.

Polując na błotach lub polach z psem, uważać należy, aby strzał nie poszedł w kierunku towarzyszów, ani też podchodzić do psa stojącego, mając myśliwego na przedzie.

Przy polowaniach w polu z gońcami nie strzela się w koło, jeżeli myśliwi na 200 kroków zbliżyli się do człowieka lub znaku oznaczającego środek koła.

20.

Jeżeli z jednego miotu do drugiego przejeżdża się wozami, saniami lub konno, bezpieczniej jest wyjąć naboje, lub opatrzeć kłakiem kabzlówkę. Jeżeli się tego nie czyni, winna być strzelba zawieszona przez szyję i kurki na pierwszy spust odwiedzione. Strzelby nabitej nie kładzie się nigdy w sanie lub do woza.

*

21.

Miejsce na spoczynek lub śniadanie należy wybierać opodal od miotów, w których się ma polować, a zakładając ognisko baczyć, aby dym nie ciągnął ku kniei niespolowanej. Strzelby odstawia się na bok wyjąwszy naboje, — kabzlówki wiesza na gałęzi lufkami do gory.

22.

Dzika, wilka, łosia i rysia przypisuje się temu myśliwemu, od którego pierwszą śmiertelnie rażącą otrzymał kulę; sarnę, lisa, zająca lub ptaka wszelakiego temu, po którego strzale pozostał.

23.

Strzelanie na trupa, na wiwaty lub do celu w czasie polowania uchybia godności myśliwego, niepokoi zwierzynę i nie powinno być dozwolone.

24.

Wracając z polowania wyjmuje się naboje ze strzelby lub opatruje kabzlówkę podkładem.

25.

Jeżeli mróz na dworze, nie trzeba strzelby wnosić do ciepłej izby. zmoczoną należy dobrze wytrzeć i przy piecu lub kominku postawić, aby szybko wyschła, lufy się ogrzały i para na nich nie osiadała.

26.

Spory o strzał winien na miejscu rozstrzygać zaufania godny doświadczony myśliwy lub komisya z pomiędzy strzelców wybrana — o zająca prawdziwy myśliwy nie spiera się nigdy.

27.

W celu ścisłego przestrzegania powyższych przepisów pożądanem jest, aby za przekroczenie takowych zaraz w miejscu ściągano kary pieniężne na korzyść straży leśnej lub inny cel dobroczynny.

KORESPONDENCYE.

Lwów, d. 16. Grudnia 1878.

Sądząc, iż o tak ważnym dla łowiectwa przedmiocie nigdy dosyć mówić nie można, rzucam kilka aforystycznych myśli o ochronie zwierzyny, która narażona na różnorodne prześladowania, musiałaby w końcu do szczętu wyginąć, gdyby rozum ludzki tamy temu nie położył i nie obmyślił skutecznych ochrony środków.

Nie sroga zima tępi zwierzynę, ani choroby, którym zwierzęta łowne rzadko, zwłaszcza epidemicznie, podlegają—lecz najzaciętszymi ich prześladowcami i tępicielami są stworzenia drapieżne z natury i — człowiek. — Matka przyroda troskliwie pielęgnuje swe dzieci, w zimie okrywa je ciepłą odzieżą, w lecie zmienia ją na lżejszą, krzepi siły ożywczymi promieniami słońca, balsamiczną wonią przesyconem powietrzem, pożywnym pokarmem, krystalicznymi zdrojami wód. Lecz są chwile, iż owa staranna opiekunka jakoby znużona nieustanną pracą i wysilona, odmawia wychowańcom swoim dostatecznych środków żywienia i mnożenia się; wówczas to pomoc człowieka rozumem przenikającego własności, działania i cele przyrody, jest potrzebną i konieczną. — Rzućmy okiem na choroby zwierząt łownych, a dostrzeżemy, iż wynikają one zwykle z braku zdrowego pożywienia, czystej wody lub spokojnego przytuliska. Nieraz się zdarza, iż mroźna i zawiejna zima odejmuje owym mieszkańcom leśnym pożywienie, w skutek czego nędznieją. Gdy z wiosną obudzi się ze snu roślinność i bujnie zaścieli rozłogi pól i lasów, wówczas wygłodzona zwierzyna zbyt łakomo żeruje, i choruje na biegunkę, a nawet często to łakomstwo życiem przepłaca. Niemożebnem jest dla człowieka leczenie chorób zwierząt łownych, ale zapobiedz im może dostarczeniem warunków odpowiedniego żywienia i ochronienia od wpływów szkodliwych.

O wiele groźniejszemi, jak zimno, głód i choroby, są dla ogólnego zwierzostanu — zwierzęta drapieżne. Tu więc szczególnie umiejętna i energiczna interwencya człowieka jest niezbędnie potrzebną. Przebiegnijmy myślą cały szereg rabusiów począwszy od niedźwiedzia i wilka a skończywszy na jastrzębiu, cała ta rota drapieżna żywi się krwią i ciałem żywych istot, i tępi je bezwzględnie. Cóżby się stało, gdyby ona bez przeszkody szerzyła w około mord i zniszczenie? Nie można zaprzeczyć, iż owe drapieżne zwierzęta w pewnym względzie są pożyteczne, wszelako szkody, jakie wyrządzają, o wiele przewyższają owe korzyści; nic więc dziwnego, że człowiek wypowiedział im zaciętą walkę, że je tępi i niszczy wszelkimi środkami i wcale tem okrucieństwem nie obciąża sumienia swego, bo w zamian za jednego drapieżnika ocala życie licznych zwierząt pożytecznych. — Odzywają się głosy biorące w obronę lisa, bo on wytępiając myszy z pola, mnoży pożytki gospodarstwa rolnego. Kto wszakże z ujemnej strony pragnie go poznać, niech w miesiącu Maju poszuka jam lisich. Zdala już smród zgnilizny wskaże mu cmentarz różnorodnych zwierząt, a gdy się zbliży, znajdzie około owego gniazda płodu lisiego, rozrzucone kości, pióra i inne pozostałości rozmaitego ptactwa domowego i dzikiego, zajęcy a nawet młodych sarn, a pewnie nader rzadko myszy. Mając do wyżywienia liczną rodzinę, wysila on cały swój, niepospolity w świecie zwierzęcym, rozum, nie przebiera w środkach, byle tylko dla zgłodniałego potomstwa swego dostarczyć pastwy. — Niepodobna nam w ulotnej korespondencyi szeroko rozwodzić się nad każdym z tych drapieżników, wskażemy ich tylko jako bandę zbójców, których sprawiedliwość słusznie na zagładę przeznaczyła. Wiadomo, jakie zniszczenie w lasach i polach szerzą wilki, dzikie koty, kuny, rysie, których żarłoczności nawet większe i silniejsze zwierzęta ofiarą padają. Nawet wrony, sroki i bociany znaczne wyrządzają szkody. Bociana otacza lud nasz niemal czcią religijną, nikt nie odważy się w obec włościanina targnąć się na jego życie, toż bezpieczny kroczy on wolno po błotach, łąkach i polach, i wybiera swobodnie z gniazd wszystko, cokolwiek znajdzie, a nawet z zagród domowych unosi drób, a gospodarz nie podejrzywa owego przyjaciela rodzinnej strzechy o taką zbrodnię. Zapewne nieprawdopodobnem się wyda twierdzenie, iż odyńce polują na sarny, zwłaszcza w czasie mroźnej i zawalnej zimy, a jednak jest to prawdą stwierdzoną, co więcej, dzik zasmakowawszy w takich łowach, i przy nich zdobytych przysmakach — staje się dla zwierzostanu wielce niebezpiecznym. — Zważyć nadto należy. że zwierzęta drapieżne hojniej przyroda wyposażyła warunkami siły, zdrowia i rozmnożenia. Gęsty i twardy włos chroni je od zimna i przykrych zmian powietrza, są one lepiej uzbrojone, a nadto obdarzone nader ostrymi zmysłami. Mniej podlegają chorobom jako fizycznie silniejsze. — Gdyby przeto rozum człowieka nie uznał potrzeby położenia tamy ich okrutnej drapieżności, gdyby na każdym kroku nie występował do otwartej i podstępnej walki z tymi rabusiami; wnetby z pól i lasów naszych. z błot i wód znikły wszystkie niemal żyjące stworzenia, a wtedy zgłodniała czereda rabusiów rzuciłaby się na człowieka. Postępowe przeto łowiectwo niszczy starannie ów płód zbrodniczy, a w miarę umniej-

szania się liczby owych szkodników zapełniają się lasy, pola, błota i wody zwierzyną, dostarczającą człowiekowi w odwet za jego trudy poświęcone ochronie jej, przyjemności i pożytku.

Mówiąc o zwierzętach drapieżnych wspomnieć należy o kotach włóczących się po polach i lasach, które bezwzględnie tępić należy, o psach, szczególnie tak zwanych owczarskich i kundysach, które upędzając się za zwierzyną wielką w niej szkodę czynią. Psy u brzegów lasu mieszkające, a nie dozorowane, urządzają, tak jak wilki, dobrze obmyślane łowy na zwierzynę nawet grubą i tępią ją. Słuszną przeto jest ustawa, nakazująca zabijanie psów samotnie po polach i lasach się włóczących. Gdyby nawet takie łowy psie były zawsze bezskuteczne, to już samo nieustanne niepokojenie zwierzyny wypłaszałoby ją z rewirów. W ogóle spokój i cisza są szczególnie dla szlachetnej zwierzyny niezbędne, więc poskramiać należy wszelkie niepotrzebne zapędy ludzi w las, mianowicie pastuchów, zbieraczy jagód, orzechów, niedorosłych myśliwych na ptaszki, i t. d. Ale najczujniejsza baczność zwrócona być powinna na tych, którzy łapki, żelaza, samołówki rozkładają, sidła i cewki stawiają — w ogóle n a k ł u s o w n i c t w o w całym zakresie znaczenia swego. Szczególnie u nas rozwielmożniło się ono. Niedawne to czasy, gdy kłusownictwo u nas było wyrazem nieznanym, dopiero Ustawa biorąca w obronę zwierzynę, wskazała nam je jako jeden z głównych powodów upadku zwierzostanu i łowiectwa, — przedtem polowano, gdzie, komu i kiedy się podobało, ledwo setny posiadacz znaczniejszych obszarów leśnych troszczył się o rzecz tak błahą, jak życie mieszkańców owych obszarów — swobodnie przeto bujało kłusownictwo i doszło do tego, że jeleń, kozica, świstak i inne szlachetne zwierzęta łowne należą albo do wytępionych już, lub bliskich wytępienia. Wdzięczność przeto należy się Ustawie, Towarzystwu łowieckiemu, Pismu jego, wreszcie wszystkim ludziom dobrej woli — których celem: o c h r o n a z w i e r z ą t s z l a c h e t n y c h i p o ż y t e c z n y c h. *Ł.*

Bereska, 10. Grudnia 1878.

Zachęcony pierwszą ponówką, pojechałem w góry okolic Baligrodu na dziki, nie znalazłem ich wiele, ale za to prawie wszystkie pozchodziły z działów wysokich na najniżej i blisko wsi położone laski, gdzie obfitość dzikich jabłek, jak się przekonałem, jest dla nich ulubionym żerem. Polowałem w lasach wsi Jabłonki i Hołowic Wgo Sołdraczyńskiego jak zwykle z psami, mając z sobą 5 strzelb. 5-go rano miałem obciętego (otropionego) odyńca, rozstawiłem strzelców, a sam poszedłem w miot i puściłem małego, ale doskonałego pieska. Dzik lekceważąc psa, parę minut nie ruszył z barłoga, dopiero gdy usłyszał mnie idącego po chrupiącym śniegu, ruszył z miejsca i wyszedł idąc otwartą łąką z miotu nie strzelany. Dopuściłem jeszcze dwa psy, i poszedłem w kierunku gdzie poszedł. Po pół godziny przybyłem na polanę porosłą jałowcem, na której środku siedział dzik między psami, podsunąłem się na kroków 40 i wypatrywałem z poza dużego jałowca dogodnej chwili do strzału. Psy zobaczywszy mnie zaczęły atakować zaciekle dzika, ten rozjuszony pędzi jednego psa ku mnie i przychodzi na kroków 24. Strzeliłem na połeć do stojącego francuską kulą pękającą — od jednego strzału trup — ładna sztuka, ważył 316 funtów wiedeńskich. Ciągną zabitego dzika ku drodze, w tem nadchodzi mielnik z Jabłonek z pojedynką starą na plecach i pokazuje nie daleko górę, w której otropił 4 sztuki dzików. Poszedłem tam — puszczono psy — dwa wzięły po sztuce, i poszły światami nie strzelane, jeden zaś piesek naszczekuje wciąż w miocie, podszedłem ku gęstwinie i widzę samurę dużą z warchlakiem, pies atakuje głównie warchlaka i to tak ostro, że tenże parę razy dość głośno kwiknął, samura wtedy rehocząc odgania psa i uchodzą dalej w kierunku ku mnie. Z przyjemnością patrzyłem na tę walkę interesującą, nareszcie wyskakują między rzadkie jodły, warchlak mija mnie — ja czekam na samurę, strzelam na połeć, następnie zwracam się za warchlakiem, strzelam drugi raz znów kulą pękającą — i obie sztuki leżą. Śliczna dubleta, a ze wstydem przyznać się muszę — pierwsza w życiu.

Szóstego goniły psy odyńca, szedłem za nimi trzy godziny, byłem jakby w kraju lodowatym Franciszka Józefa, gdzie śnieg 8 cali gruby, ale nie przyszedłem do strzału — i nic nie zabiłem — Siódmego goniły psy dwa pojedynki, lecz uszły cało, do jednego z nich kłapał wyżej wspomniany mielnik z pojedynki dwa razy, pokazało się, że śruby trzymające zamek były zaniutowane i zamek wewnątrz nie smarowany trzy lata — nie dziw, że kłapał. Mielnik zaręczał, że to już drugi raz się nie zdarzy, gdyż przed polowaniem wleje między lufę a zamek w szczelinę łyżkę nafty, to *już bilsze toho ne bude*. — Ja strzelałem ze strzelby z prostymi gwintami systemu Teschnera (w Frankfurcie Cal. Nr. 3). Im dłużej tej broni używam, tem wyżej ją cenię, także sumiennie polecić mogę kule pękające *„balles explosibles“* systemu Pertuiset w Paryżu, — zwierz strzelony taką kulą ginie od razu na miejscu.

T. Żurowski.

Kostarowce, 22. Listopada 1878.

Pospieszam z wiadomością, która niezawodnie czytelników „Łowca“ zainteresować zdoła. Przytoczę wypadek, który wymownie świadczy o niezwykłej zmyślności lisa, a wypadek to wzięty z własnego doświadczenia.

Znane mi wprawdzie przysłowie: *„na pochyłe drzewo i kozy skaczą“*, że wszakże lisy szukają schronienia na drzewie i to na wysokości do 15 stóp — o tem zapewne nie wszyscy wiedzą.

Dziś przybiegł do mnie robotnik z pola z doniesieniem, że spostrzegł lisa śpiącego na dębie. Pobiegłem natychmiast na wskazane miejsce i ujrzałem istotnie w wysokości może 12 stóp na rozłożystej gałęzi dębu wygodnie spoczywającego i w głębokim śnie pogrążonego lisa. Gęsty liść zakrywał go prawie zupełnie i tylko głowę i kitę mogłem dostrzedz. Po moim strzale spadał widocznie, lecz jak kot chwytał się gałęzi i uczepił się jednej z nich, strzeliłem więc raz drugi, i lis spadł martwy u nóg moich.

Dąb, na który się schronił, wyrasta pionowo zupełnie, a pierwsze gałęzie jego wznoszą się w wysokości do czterech stóp, i wznoszą się gęsto aż do bardzo znacznej wysokości tego starego drzewa. Trudno pojąć, jakim sposobem nasz *„Mykita“* wdrapał się po niem tak wysoko. Sądziłem, że dąb wewnątrz wydrążony, lecz pień był zupełnie cały, na korze jednak spostrzegłem ślady pazurów, którymi zapewne często się na upatrzone legowisko dostawał. Zapytałem chłopa, jak mu na myśl wpadło szukać lisa na dębie? Odpowiedział mi, iż przed dwoma laty, gdy w pobliżu tego dęba zajęty był robotą, widział, jak lis z drzewa zchodził i z wysokości 5—6 stóp skoczył i w krzaki pomknął. Z tego więc powodu zwykł był w tem miejscu przepatrywać drzewa. — O kilkaset kroków od owego dęba znajdują się od dawna jamy lisie, może więc mieszkańcy ich z pokolenia w pokolenie są specyalistami w łażeniu na drzewa.

Szkoda, że takie drobne wydarzenia z życia zwierząt częściej nie dochodzą „Łowca“, jako charakterystyczne ich

cechy są one nie małej dla przyrodników i myśliwych wartości. — Niedawno opowiadano mi wypadek, iż sęp atakował pewnego myśliwego w polu.

Powyższy wypadek z lisem zdaje mi się być bardzo niezwykłym, lubo zresztą jest wiadomo, że lisy często w potrzebie wskakują na pochyłe drzewa.

Wiederwald, c. k. rotmistrz.

Czerce, d. 10. Grudnia 1878.

W lasach Pełkińskich znajduje się znaczna ilość przeważnie chłopskich łąk. Na jednej z tych łąk paśli d. 8. Listopada pastuchy bydło, jeden z nich, chłopak około 14 lat mający wszedł w las, gdzie od dawna jamy borsucze się znajdują. Gdy się chłopak ku nim przybliżał, wysunął się właśnie z jamy borsuk, a spostrzegłszy go, pędem rzucił się ku niemu. Chłopak począł uciekać przywołując innych pastuchów, którzy niedaleko przy ogniu się grzali. Pastuchy, między którymi było dwóch dorosłych, przybiegli z hałasem, ale borsuk nie zważając na ową wrzawę, pędził za chłopcem, i w chwili kiedy się ku niemu zbliżyli, chwycił za kaftan i darł go. Obskoczony ze wszystkich stron wypuścił wprawdzie łachman z pyska, ale wcale nie myślał o ucieczce, owszem zuchwale postawił się do odporu, ale musiał uledz przemocy i pastuchy kijami go zabili. Chłopak ze strachu zachorował.

Byłby to dowód — może tylko wyjątkowy — drapieżności borsuka, w każdym razie wypadek rzadki i ciekawy, więc podaję go do wiadomości publicznej.

KRONIKA.

U ks. Eustachego Sanguszki w dobrach Tarnowskich odbyło się polowanie w dniach 4., 5. i 6. Grudnia w 12 strzelb—podczas najniedogodniejszej pory, ponieważ ciągle padał deszcz ze śniegiem. Było to przeważnie polowanie kociołkowe *(Kesseltreiben-Feldtriebe)* w polu. Ubito w ogólności 212 zajęcy, 5 rogaczy, 1 słonkę. Pola tamtejsze mają remizy i rowy, te ostatnie porośnięte gęstą wikliną, — otóż z jednej takiej remizy pomknęło w jednem stadku 21 sarn. Można sobie łatwo wyobrazić przy ich lękliwem usposobieniu, w jakim popłochu uciekały. Instynktem wiedzione rzuciły się prawie wszystkie na nagankę, i przewróciwszy kilku chłopaków — uszły cało i bez strzału. Polowanie było bardzo umiejętnie prowadzone przy nader niekorzystnem położeniu miejscowości. Przyczyniła się również nie mało do przyjemności nadzwyczajna gościnność gospodarza, który lubo nie myśliwy, wziął udział w polowaniu, i zachęcony nabiera zamiłowania do zawodu Nemroda. Na ławę targową lwowską przysłał 100 zajęcy i jednego kozła. *Z.*

Na Podolu polowano z chartami we 20 koni. Uszczuto już kilka zajęcy, myśliwi wesoło gwarzyli o cnotach i rączości swoich chartów, jechali stępo, gdy nagle z parowu zarośniętego tarniną wypłoszono dzikiego kota. Wnet charty spuszczono ze smyczy i heco na niego! Przebiegłe zwierze przewidując niemożność ucieczki, przewraca się do góry brzuchem, i żadną miarą nie daje przystąpić do siebie pomimo natarczywości i zażartości chartów, broniąc się pazurami i pryskaniem. Przypatrywali się długo myśliwi tej szczególnej scenie, lecz wreszcie trzeba było koniec jej położyć, zwłaszcza, że kilka chartów było już draśniętych pazurami, jeden przeto z myśliwych podjeżdża, i tnie kota harapem. W tej chwili zrywa się kot i rzuca z tyłu na konia, zatapiając głęboko pazury w niego, a następnie chwyta myśliwego za kark. Konia w szalonych susach zaledwie zdołali myśliwi powstrzymać, a jeźdźca uwolnił od groźnej napaści jeden z przytomnych towarzyszów, który kotowi popodcinał żyły u łap, i tym sposobem ubezwładnił go. Zaatakowany myśliwy przez kota, który jak się okazało, był istotnie dzikim *(felis catus)*, przeleżał z przerażenia i ran kilka tygodni w łóżku. Wypadek ten nader ciekawy, o którego bliższe i dokładniejsze objaśnienie uprzejmie prosimy, może być przestrogą dla myśliwych w spotkaniu z dzikim kotem. *Z.*

Józef hr. Potocki jadąc d. 11. Listopada na polowanie spostrzegł w rzepaku pod lasem kota. Mimo stanowczego twierdzenia furmana, że to zając, kazał stanąć, i obchodząc go zdaleka ostrożnie, strzelił do przyczajonego dwa razy. Był to rzeczywiście kot dziki *(felis catus)*. W żołądku miał szczątki wiewiórki razem z włosem, ważył 14 ft. wied. *Z.*

Tegoż dnia polowano na zające w kniei, w której nikt nie spodziewał się dzika, i wszyscy mieli strzelby nabite śrótem. Wkrótce po odezwaniu się nagonki, stanął nagle przed leśniczym odyniec, i po strzale pędem przechodzi przez linię, na której sąsiedni myśliwy strzela doń na 20 kroków. Jakżeż zdziwieni byli owi myśliwi, gdy ujrzeli dzika na drugiej stronie linii to stającego, to błędnie w tę i ową stronę zwolna idącego. Po trzech jeszcze strzałach śrótem był widocznie bardzo podrażniony, bo fukając chodził w koło po krzakach. Wreszcie nadbiegł inny myśliwy i kulą położył go na miejscu. Okazało się przy obieleniu, że śrótem miał prawe oko wybite, lewe zaś zupełnie zdrowe. Ponieważ posoka oko mu zalewała i wzrok normalny uległ gwałtownej zmianie, przeto w pierwszej chwili widocznie nie umiał się z tym nowym stanem wzroku pogodzić i dla tego nie umykał, lecz błędnie w jednem miejscu się kręcił. Gdyby nie był dalej napastowany, niezawodnie jako jednooki byłby z czasem zupełnem cieszył się zdrowiem. — Ważył 385 ft. wied. — Kordelas miałby tu świetne pole do popisu. Dzika tego przyznano pierwszemu celnemu wystrzałowi p. Ambroziewicza. *Z.*

W Korolówce u hr. Alfreda Borkowskiego zabito w 5 strzelb 111 zajęcy, 4 lisy. Padło około 400 strzałów. Rezultat zaiste świetny świadczący o bogatym zwierzostanie.

Na polowaniu d. 23. Grudnia u E. hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego w Zarzeczu, które trwało 3 godziny, ubito w 14 strzelb 86 zajęcy i jednego kozła. Strzałów padło 196. Lisa nie widziano. Stan zwierzyny bardzo bogaty, polowanie prowadzone wzorowo. Dodać należy, iż jedna samica (zając) była kotna.

Na polowaniu w Tarcach w Poznańskiem u hr. Gorzeńskiego ubito 26 rogaczy, 605 zajęcy, 10 bażantów, 9 cietrzewi i lisa. Wzięli w tem polowaniu udział: ks. Ferd. Radziwiłł, dwaj hr. Mielżyńscy, hr. Mycielscy, hr. Poniński, Pp. Taczanowscy, Węsierscy i Karśnicki.

Gaz. Lw.

Schodnica 2. Grudnia 1978.

Dzisiejszej nocy wpadł nur przez okno, które rozbił, do pokoju, a nazajutrz znaleziono go tam nieżywego. Wypadek nadzwyczajny i zagadkowy, *A. Kraus.*

Ostrowczyk 6. Grudnia 1878.

Dnia 30. Listopada widziano na polowaniu w kniei Ramizowieckiej — słonkę, a w drugiej połowie Listopada ubito w Stronibabach zajęczycę kotną, z której dwa zajączki wyrzucono przy patroszeniu.

Wilki i dziki w Lotaryngii. Groźni goście, którzy nas każdej zimy nawidzają, wilki, tego roku bardzo wcześnie się pojawiają. W Batilly przy granicy francuskiej wytropiono 10 wilków w gromadzie, z których dwa zabito. Również w lasach Grigy widziano wilki włóczące się w pobliżu miasta. Lubo od czasu gospodarstwa niemieckiego w kraju rocznie pada najmniej 50 wilków, to jednak liczba ich zawsze jeszcze groźną jest dla rolnictwa, łowiectwa i bezpieczeństwa publicznego. Ani marzyć można o rychłem ich wytępieniu z powodu rozległości i nieprzystępności lasów, jakoteż z przyczyny niemożności urządzania wspólnych z francuzkim sąsiadem łowów. Także dziki w znacznej mnogości się pojawiają i wyrządzają w łanach zbożowych i winnicach corocznie niezmierne szkody.

W okolicy Nadwórny złapano 6 wilków w stempicę, jednego zaś ubito.

W Delatynie wyszła na myśliwego rysica z dwojgiem młodych. Matka padła, ugodzona celnym strzałem, młode uszły. Prosimy o podanie bliższych szczegółów tego wypadku, oraz przypominamy, iż okaz tego nader ciekawego i rzadkiego u nas zwierzęcia, byłby dla Muzeum hr. Włodz. Dzieduszyckiego wielce cennym nabytkiem.

Na polowaniu w Chodorowie ubito w dniach 12. i 13. Grudnia 12 rogaczy, 38 zajęcy, 1 lisa. W pierwszym dniu było 20 w drugim 13

myśliwych. Strzałów padło 167 14. Grudnia strzelano do słonki, która siedziała na mokradle nie zarośniętem. Dzień był wietrzny, drobny śnieg pruszył — 5° R. *R.*

Na polowaniu odbytem w ostatnich dniach Listopada w dobrach hr. Stanisława Potockiego w kluczu pomorzańskim ubito: 70 zajęcy, 16 lisów, 1 kozła. Dziki w stadzie około 20 sztuk, średniej wielkości, kilkakrotnie strzelane i postrzelone, jednak dla trudności tropienia niepodjęto żadnego. Stan zwierzyny bardzo pomyślny w ciągłym jest wzroście, zające i sarny odznaczają się wielkością. *R.*

Pan Witold Niezabitowski, właściciel Laszek koło Bóbrki, zabił sępa płowego *(vultur fulvus)* d. 29. Października na drzewie. Ptak był tak zmęczony, że dał się łatwo podejść. Gromady ich nawidzają nas zwykle na wiosnę. Sęp jest zupełnie nieszkodliwy, żywi sję tylko padliną Doświadczałem tego na dwóch okazach, które przechowywałem jednego dwa, drugiego trzy lata. Nie dawałem im rozmyślnie przez dłuższy czas żeru, a potem wpuszczałem do nich kury, szczury, małe pieski, króliki, a nigdy nie rzucały się sępy na nie, owszem ustępowały im z drogi, lecz gdym jedno z tych zwierząt zabite podrzucił, skwapliwie rzucały się na pastwę, i pożerały ją chciwie gruchocząc kości swym silnym dziobem. Łapy sępów nie mają pazurów drapieżnego ptaka. *Z.*

Dnia 18. Listopada b. r. odbyło się polowanie w Starym Gwoździcu u hr. Stan. Dieduszyckiego. Polowano godzin 5, i ubito w 11 myśliwych na 169 strzałów: 7 lisów, 56 zajęcy i 1 kota dzikiego. *M. J.*

Siedmiu strzelców upolowało w dobrach Pszczyńskich w Poznańskiem w trzech dniach 4 rogacze, 1000 bażantów, 605 zajęcy, 9 kuropatw, 3 słonki, 75 królików — razem 1636 sztuk. Hr. Frankenberg sam zabił 369 sztuk. *Gaz. Lw.*

Dr. F. Kratter wziął udział d. 15. Listopada w polowaniu na niedźwiedzie, które urządził w Rosolnie koło Nadwórny p. Hess, dyrektor lasów, wytrawny myśliwy. Polowano z psami. W pierwszym miocie były dwa pewne niedźwiedzie, z których jeden wyszedł na gajowego przez tegoż haniebnie spudłowany, drugi zaś wyniósł się w g ry bez strzału. Po takiej klęsce myśliwskiej miano w drugim miocie strzelać do wszystkiego. Dr. Kratter siedząc według zwyczaju swego na jednonogim stołku *(unipes)* trzymał w ręku, nie spodziewając się spotkania z grubszym zwierzem, śrótówkę, w tem rzuciwszy okiem w prawo, spostrzegł wcale blisko stojącego niedźwiedzia, który rozglądając się w koło i dopatrzywszy myśliwego, skoczył w bok ku linii. W tejże chwili zmienił przytomny myśliwy śrótówkę na sztuciec, i siedząc strzelił do niedźwiedzia po drugiej stronie linii w największym pędzie pomykającego. Strzał był szczęśliwy. bo w odległości 80 kroków padł niedźwiedź bez życia, ugodzony śmiertelnie kulą pękającą.

Dr. Kratter i Dr. Willner polowali 19. Października na niedźwiedzie i jelenie w Rafałowie. Góry już wtedy pokryte były śniegiem. Jadąc konno wypłoszyli 7 głuszców. Piękny ów ptak, ozdoba naszych gór, staje się niestety coraz rzadszym, z powodu, że biją go bezlitośnie i bezwzględnie o każdej porze, nawet samice, szczególniej chłopi, i wysyłają do miast, gdzie jakby na urągowisko Ustawie i racyonalnemu myśliwstwu, wystawiane bywają na sprzedaż po sklepach korzennych. Drugim powodem znacznego zmniejszania się liczby głuszców jest wycinanie lasów i wypłaszanie tej szlachetniej zwierzyny, która miłując spokój w dalekie strony ulatuje. W takim stanie rzeczy wspaniały ów ptak wkrótce znanym u nas będzie chyba z okazów gabinetowych lub z odcinków misternie umieszczanych na wachlarzach naszych dam salonowych.

Polowanie na kozice na Krywaniu. Zaproszeni przez przyjaciół naszych z Liptawskiego komitatu przybyliśmy z początkiem Września do S., i wzięliśmy udział w polowaniu, na którem w dwóch dniach zabito 8 kozłów. Następnie zebrało się całe grono myśliwskie w V. Damy przyjęły nas z całą węgierską uprzejmością a panowie rychło z nami zawiązali stosunek serdeczny. Na trzech wozach wyruszyliśmy na Krywań w celu spotkania się z kozicami. Po dwu godzinach jazdy a trzech godzinach dosyć forsownego marszu stanęliśmy u schyłku dnia na miejscu oznaczonem, gdzie uprzejmy gospodarz przygotował nam wcale wygodne na noc schronienie. Rozłożyliśmy się więc i wybiegliśmy dla obejrzenia miejscowości. Szałas łowiecki postawiono po stronie północnej więcej jak sto sążni wysokiej skały Krywania na polanie, otoczonej limbami i dębami. Właśnie zajaśniała pełna tarcza księżyca na horyzoncie, przy którego mdłem świetle wydawały nam się blizkie szczyty skaliste niezmiernej dosięgające wysokości. W pobliżu huczał wspaniały wodospad.

Pan M. objął urząd kuchmistrza i piwniczego. Korzystając z pięknej pogody spożyliśmy wieczerzę pod gwiazdzistem niebem przed szałasem. Stół i ławki zaimprowizowano, na bliskim ściętym pniu rozłożono ogień, który całą miejscowość oświecał. Zasiedliśmy, gdzie kto mógł, i żwawo zabraliśmy się do zaspokojenia pastwy łaknących żołądków naszych. Wesoło ubiegały chwile śród toastów, opowiadań myśliwskich, dowcipkowania — aż wreszcie około północy ułożyliśmy się do błogiego snu.

O godzinie siódmej wysłano trzech naganiaczów pod dowództwem Śliwki na południowo zachodnią stronę Krywania. My także udaliśmy się na przeznaczone stanowiska. O dziewiątej miano rozpocząć łowy. Myśliwi stali pod północną, około 800 kroków długą, stromą skałą Krywania, w równej linii. Ponieważ naprzód oświadczyłem, iż do kozic strzelać nie chcę, umieściłem się po za linią strzelców na pagórku, zkąd miałem wyborny pogląd na przesmyki kozic i na cały szereg strzelców. Gospodarz nieco dalej podobne mojemu zajął stanowisko. Był to dzień cichy, pogodny i ciepły. Powietrze tak było czyste, iż pojawiającą się zwierzynę można było na 1000 kroków dostrzedz. O pół do 10 odezwał się ze szczytu przed nami sterczącej skały jakiś jakby metaliczny szmer, a po kilku sekundach ujrzeliśmy kilka kozic, w swobodnych podskokach spuszczających się ze skalistej ściany. W stronie ostatniego myśliwego wiła się w szerz po skale wąziutka ścieżynka. Jeden wystrzał, drugi, trzeci! Widzę po nad strzelcami wznoszący się obłok dymu, lecz niepodobna strzałów odróżnić, w tysiącznem bowiem odbiciu zlewają się one z sobą, rozlegają się po ciemnych przepaściach i lasem uwieńczonych szczytach, jak grom wzruszający ziemi powłokę. Wreszcie po chwili widzę na jednym końcu linii strzeleckiej padające trzy kozice.

Jedna część wypłoszonych kozic przerżnęła się przez linię strzelców, i podążyła ku Grubemu Wierzchowi, druga przemknęła wzdłuż stromej ściany nazad ku szczytowi Krywania. Podczas gdy rozkoszuję się widokiem tych pięknych zwierząt, słyszę w pobliżu moim szmer. Stara samica idzie prosto na mnie, a za nią czworo młodych. Nie spostrzegły mnie. Nie ma między niemi kozła — już on zakończył dni swoje pełne chwały na dnie przepaści: Za żadne skarby świata nie strzeliłbym do tego, ożywiającego majestatyczną przyrodę gór, gronka rodzinnego! Wzrok mój napawałem tym wspaniałym widokiem i szczerze życzę wszystkim czcicielom bogini Diany takiej rozkoszy, — lecz nie trafnego strzału. W Karpatach sto razy więcej kozic, jak ich jest teraz, swobodnie żyć może. Łaski więc dla nich!! Na trzy kroki odemnie przemknęły. Gdy mnie pominęły, pożegnałem je powiewem kapelusza i głośnym okrzykiem. Przerażone uciekły w szalonych susach, i na szczytach Grubego Wierzchu znikły mi z oczów".

Dziwne, iż po stronie węgierskiej owo szlachetne zwierzę dotąd prawo nie ochrania. Czemuż tacy wielbiciele przyrody i jej wspaniałych tworów, nie szukają energicznie dla kozic opieki prawa! Oby nasz głos nie był głosem wołającego na puszczy! *Sport-Zeit.*

KALENDARZ MYŚLIWSKI.

STYCZEŃ.

Ziemia śniegiem pokryta, snem ujęta. O żer trudno, więc zwierz nocami idzie za zdobyczą, a dzień zdradza jego tropy. Kruki szukają padliny, a do niej skrada się niekiedy nocą ostrożny lis lub wilk żarłoczny. Jastrząb spada na drób lub na kuropatwy, tulące się pod zaspę śniegu lub w gęste zarośle. Zając przy księżyca świetle pomyka, kołkuje, kluczy i zrzuca, ciągle w popłochu. Wszędzie pełno jego tropów, w lesie, na polu, w sadzie. Za nim sznurem ciągnie lis i strategicznie obmyśliwszy plan, zawsze prawie dojdzie zdobyczy. Myśliwy chętnie wybiega w pole ze smyczą dobrych chartów, lub do lasu, gdzie po tropach naprzód oblicza łowiecką zdobycz. Tam cisza i smętny powab w śnie pogrążonej przyrody rozlega się w około, dzięcioł tylko twardym dziobem uderza o drzewo,

zaskrzeczy sojka, lub wrona kracząc zwołuje towarzyszki. Ryś przyczajony w dziuple drzewa czyha na przechodzącą sarnę, lub skacząc z jednej gałęzi na drugą, otrząsa z nich okiść; rankiem wśród mgły sunie lis z nocnej wyprawy po zdobycz, a w biały już dzień wraca wilk do kniei na spoczynek po nocnej pracy. Inna zwierzyna stale się trzyma lasu. Niedźwiedź nie znaczy tropów swoich na śniegu, bo leży spokojnie w gawrze w głębokim śnie pogrążony. Toż samo dzieje się z borsukiem, ale wydra, za dnia ukryta w norze, włóczy się w nocy i czasem spotyka się z strzelbą myśliwego lub nastawionem żelazem. Przy jamach lisich i borsuczych zostawia trop swój żbik, chroniący się w nie. Dzik swobodnie leży w barłogu, a z nadejściem nocy ciągnie stadem na żer, buchtując ziemię i wiatrem szukając w niej pożywienia. Jelenie i sarny skupione w stadach stoją w gąszczach wysokiego lasu. W najgłuchsze ostępy leśne chronią się głuszec i jarząbek, a cietrzew na szerszych przestrzeniach gości.

Po Trzech Królach kończą się już właściwie walne łowy. Kończy się lochanie dzików, a w tej porze mięso odyńca nie smaczne, a warchlaki znękane zimą. Rogacze trudne do rozpoznania, więc i na nie łowy ustają. Polowanie na małego zwierza trwa jeszcze aż do końca miesiąca, a wtedy, zwłaszcza gdy pora łagodna, rozpoczyna się parkot zajęcy. Na skórkę lisią, teraz najpiękniejszą, dybie myśliwy strzelbą, żelazem, z jamnikami, na zasadzce, — również upędza się za wilkami, żbikami, kunami, tchórzami, łasicami, lub stawia sidła na kwiczoły, paszkoty i jemiołuchy.

OGŁOSZENIA.

Jako dar noworoczny rozsyłamy członkom Tow. łow. rycinę wyobrażającą pożytecznego dla rolnictwa: Jastrzębia Myszołowa.

Prosimy uprzejmie czytelników „Łowca", tyle dotąd łaskawych dla Pisma, o nadsyłanie artykułów, korespondencyi, drobnych wiadomości i t. d.

Rocznik „Łowca" 1878 zbroszurowany jest do nabycia u Sekretarza Towarzystwa łowieckiego.

Angielski proch w najlepszym gatunku, sprowadzony w większej ilości, jest w każdej chwili do nabycia u Sekretarza Towarzystwa łowieckiego.

INSERATY.

Jest do nabycia

DUBELTÓWKA

systemu **Teschnera** (Collath w Frankfurcie nad Odrą), kaliber 1., zupełnie nowa, na obstalunek zrobiona.

Bliższa wiadomość u Sekretarza Towarzystwa łowieck.

Jest do sprzedania

para pistoletów

podwójnych, kabzlowych za **niskę cenę**. Bliższa wiadomość u Sekretarza Tow. łow.

Są do sprzedania za umiarkowaną cenę

3 strzelby (dubeltówki)

kabzlowe, dwie Wiśniowieckiego, jedna Lebedy. Bliższych wiadomości udziela sekretarz Tow. łow.

Dobrowolski szewc w Kutkorzu, wyrabia według najpraktyczniejszej formy trzewiki do polowania błotnego.

Raczkiewicz, krawiec w Kutkorzu, wyrabia według paryzkiego kroju ubrania do polowania błotnego.

Adres: *Kutkorz* — poczta *Krasne.*

Pierwszy i jedyny na całą Galicję

MAGAZYN BRONI

perfumeryi i artykułów toaletowych,

oraz potrzeb do polowania i podróży

ALFREDA DZIKOWSKIEGO

przedtem

BONIFACEGO STILLERA

we Lwowie, przy ulicy Karola Ludwika,

poleca wspomnione artykuły mianowicie:

Broń wyrobu najsławniejszych francuskich angielskich, belgijskich, czeskich i niemieckich fabrykantów, jako to: pojedynki i dubeltówki kabzlowe; dubeltówki odtylcowe Lefaucheux, Lancaster i iglicowe; pojedynki kapzlowe i Lefaucheux dla dzieci; strzelbki i pistolety salonowe Flobert; sztućce najnowszych systemów; pistolety tarczowe i krucice, rewolwery Lefaucheux, Lancaster, iglicowe, Sharps, Galand i inne.

Perfumerye i artykuły toaletowe francuskie i angielskie, zawsze w najświeższym i najlepszym gatunku.

Potrzeby myśliwskie i do podróży w nadzwyczaj wielkim i gustownym wyborze. — Szpadrony i rapiry oraz przybory do szermierki. — Brzytwy najsławniejsze Lecoultrego szwajcarskie z 1, 2, 3, 4, 5, 6 i 7 ostrzami.

Karabele do stroju polskiego i inne starożytności.

Michał Walichiewicz

we Lwowie

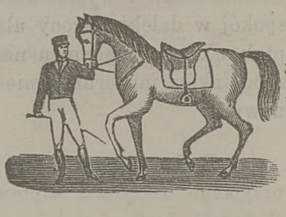


przy ulicy

Kopernika L. 2,

poleca

swój



SKŁAD i PRACOWNIĘ

wyrobów siodlarsko-rymarskich i innych w zawód wchodzących, w największym wyborze.

Zamówienia i reparacye przyjmuje, uskuteczniając takowe pospiesznie, starannie i po cenach umiarkowanych.

Odpowiedzialny za redakcyę **Wład. Zontak** ul. Teatralna Nr. 18. Nakładem galic. Towarzystwa łowieckiego.

Z I. Związkowej drukarni we Lwowie, Hotel Zorża.